Niech się święci 1 MAJA!

odgłosu

3. V. 1970 r.
18. (650)
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

ANDRZEJ MAKOWIECKI

CZERWONA DROGA

Mówili o nim: uczciwy człowiek, szczery komunista.

Pamiętam te słowa, wypowiadane przez różnych ludzi, przy różnych okazjach, a przecież mam prawo niepamięci...

Małym chłopcem byłem, kiedy z rozwalonej Warszawy przyjechałem na tę ziemię, a od chwili, kiedyśmy stąd wyjechali, minęły już chyba dwadzieścia trzy lata.

Wszystko się gmatwa, zaciera...

Z wojny, to przechowałem tylko strzępy. Błyski. Front przetaczał się przez nasze podwórko. Siedzieliśmy w piwnicy wpatrując się w opustoszały dom i jak przyszedł Ruski, ojciec dał mu szklankę mleka i ostrzegł go przed Niemcami, ale Ruski machnął ręką, wszedł na balkon i zaczął pruć z pepeszy, i ojciec mówił, że strasznie pruje, więc patrzyłem na niego chciwie, kiedy zszedł na dół i w drzwiach palił skręta, a potem odrzucił niedopałek i ruszył w kierunku rzeki, gdzie kryło się dużo Niemców i znowu pruł z pepeszy, i ojciec znowu mówił, że strasznie pruje i że musi być bardzo odważny, skoro tak sam jeden, bez żadnej osłony, goni za Szkopami. A kiedy umilkły strzały i wyszliśmy z piwnicy, to ojciec zakrył mi oczy ręką, żebym nie patrzył na pole, gdzie leżało po strzałach Ruskiego dużo Niemców.

Po wojnie w krótkich spodniach biegałem do pierwszych klas powszechniaka. Zimą ślizgałem się na zamarzniętych, przyprószonych śniegiem stawach, latem grałem z chłopakami w noża nad złocistym brzegiem Bzury...

Dalszy ciąg na str. 4

PIĘKNE DNI

I obecnie jak co roku, obchodzić będziemy Dni Oświaty, Książki i Prasy, które stały się trwałą tradycją naszego życia kulturalnego po wojnie. Miesiąc maj pęka w szwach od nadmiaru imprez. Księgarze wychodzą z książkami na ulice, pisarze podpisują swoje dzieła w parkach i na placach i spotykają się z czytelnikami, artyści koncertują w muszlach przy ciepłej zazwyczaj pogodzie. Po tegorocznej, bardzo surowej zimie, zatęskniliśmy wszyscy do maja, do imprez na wolnym powietrzu, do słońca. Dni Oświaty, Książki i Prasy przyjęły się w społeczeństwie od samego początku. Jest to jedna z tych wielkich imprez, która „chwyciła" od razu. Dowód to, jak bardzo była potrzebna.

Tegoroczny maj będzie miał pewne akcenty szczególnie doniosłe. 9 maja mija dwadzieścia pięć lat od zakończenia jednej z najcięższych wojen w historii Europy. Była to również jedna z najokrutniejszych wojen dla nas, Polaków. Gdy pojedziemy do Wrocławia, aby uczcić to wielkie święto zwycięstwa, zdamy sobie jednocześnie sprawę z tego, że znajdujemy się w stolicy Ziem Zachodnich, które dwadzieścia pięć lat temu powróciły na stałe do macierzy. Wcześniej, bo już w pierwszych dniach maja, odbędzie się w Zielonej Górze XIII Zjazd Pisarzy Ziem Zachodnich i Północnych. Literatura nasza towarzyszyła wiernie przemianom, jakie dokonywały się na tych ziemiach, literatura była jednym z ważnych czynników w wielkim dziele zespalania Ziem Zachodnich i Północnych z macierzą.

W dniach Oświaty, Książki i Prasy kultura wyjdzie na ulicę, będziemy żyli wydarzeniami kulturalnymi intensywniej, niż w ciągu pozostałych miesięcy roku. Będziemy sumowali to, co osiągnęliśmy i zastanawiali się, jak iść dalej, jak zwiększyć potencjał kulturotwórczy naszego narodowego gospodarstwa. Uczcimy Działacza Kulturalnego w jego Dniu, bez niego nie byłoby możliwe doniosłe dzieło upowszechniania na co dzień. Bibliotekarze, kierownicy świetlic, działacze młodzieżowi, związkowi — wszyscy oni tworzą wielką armię pracowników kultury, działając z samozaparciem i w niełatwych często warunkach na rzecz podnoszenia ogólnego poziomu oświaty i kultury w kraju. Należy im się za to słowo uznania i słowo podzięki w tych dniach majowej krzątaniny.

W Warszawie obejrzymy wspaniałą imprezę, jaką są coroczne Międzynarodowe Targi Książki. Za każdym razem zwiększa się ilość wystawców oraz ilość prezentowanych książek. Stwierdzamy też, że podnosi się edytorski poziom naszych wydawnictw, które wytrzymują porównanie z najbardziej nawet wysforowanym do przodu w dziedzinie produkcji książkowej krajem. To cieszy, ale i zobowiązuje.

I u nas, w Łodzi, będziemy mieć wiele ciekawych imprez w miesiącu maju. Na czoło wysuwa się Łódzka Wiosna Artystyczna z V Ogólnopolskim Festiwalem Poezji na czele, który ściągnie do naszego miasta poetów z całej Polski, dowodząc, że Łódź jest nie tylko ważnym ośrodkiem produkcji przemysłowej, ale i ośrodkiem wielu inicjatyw naukowych, literackich i artystycznych.

Dni Oświaty, Książki i Prasy są pięknym świętem kultury polskiej, jej żywotności i siły, jej zasobów i możliwości, jej dorobku i nadziei. Dni Oświaty, Książki i Prasy są manifestacją pokoju, wiarą w to, że tylko w warunkach pokojowych człowiek może tworzyć dobra dla wszystkich, trwałe dobra kulturalne na Dziś i na Jutro.

ze ŚWIATA

TRZECIA runda wymiany poglądów między przedstawicielami rządów PRL i NRF zakończyła się, jak i poprzednie, krótkim komunikatem. Zawiera on informację PAP, podkreślającą, że „dokonano dalszej rzeczowej wymiany poglądów na temat normalizacji stosunków pomiędzy obu państwami oraz zasad, na których powinna ona nastąpić". Z informacji dowiadujemy się również, iż kolejne spotkanie odbędzie się w Bonn na początku czerwca.

Warszawskie rozmowy i zapowiedź ich kontynuowania w Bonn wywołały liczne komentarze. Większość z nich podkreślając, że punktem wyjścia do procesu normalizacji musi być stwierdzenie przez NRF ostateczności granicy na Odrze i Nysie, spekuluje na temat sposobu tego uznania. Zdaniem niektórych komentatorów, Brandt przygotował „nową formułę". Jako potwierdzenie jej istnienia przytacza się fakt, iż nikt z oficjalnych przedstawicieli Bonn dotychczas tego nie zdementował.

Jest znamienne, że nie znając tej „nowej formuły" liczne pisma zachodnioniemieckie uznały za słuszne z góry zakwestionować ją. Pisze się o „niedopuszczalności uznania granicy z punktu widzenia prawa międzynarodowego", o „pogwałceniu najbardziej humanitarnych i narodowych interesów", „cenie, jakiej NRF nie może ponieść" itp. Łatwo domyślić się — po co to wszystko: chodzi raz jeszcze o uchylenie się od uznania powojennych realiów i nieodwracalności granicy na Odrze i Nysie.

W tym celu prasa zachodnioniemiecka wypaczyła także stanowisko „Benberger Kreis" na temat granicy. Zmusiło to prof. F. Ansprengera do oficjalnego sprostowania, w którym czytamy m. in.: „... Byłem i jestem daleki od tego, aby krytykować stanowisko Polski..., raczej już od 1968 r. krytykujemy stanowisko zajmowane w tej sprawie przez niemiecki rząd federalny. Rozumiemy i popieramy polskie żądania bezwarunkowego uznania granic, istniejących faktycznie od 1945 roku".

Przytaczam tę wypowiedź, aby przypomnieć czytelnikowi, że w NRF są również siły opowiadające się zdecydowanie za definitywnym uznaniem rzeczywistości.

* * *

LEDWIE przebrzmiały emocje związane z powrotem na ziemię amerykańskich kosmonautów, a już w Stanach Zjednoczonych rozgorzał spór polityczny na temat przyszłości lotów i ich celowości. Senator W. Proxmire — jeden z czołowych krytyków amerykańskiego programu lotów załogowych na Księżyc — oświadczył, że przygody „Apollo-13" umocniły go i koła liberalne w przekonaniu o potrzebie zrezygnowania z tych lotów. Lepiej — orzekł — zaoszczędzone na wyprawach księżycowych pieniądze przeznaczyć na oświatę i inne reformy społeczne.

Publiczne kontrowersje stawiają podobno pod znakiem zapytania wysokość budżetu kosmicznego, a także zapowiedziany na październik kolejny lot. Dyrektor NASA oświadczył na konferencji prasowej, że „termin październikowy nie został stanowczo odwołany, ale niewątpliwie nie został też definitywnie potwierdzony".

Dyskusja, tocząca się w USA, spowodowana jest nie tylko wielkimi wydatkami, jakie ponosi się z tytułu wypraw na Księżyc, czy też niemożnością zapewnienia kosmonautom 100-procentowego bezpieczeństwa. Ma ona także aspekt polityczny, ponieważ polityczne cele postawiły sobie Stany Zjednoczone, realizując kosmiczny program. Że tak jest — utwierdza nas w przekonaniu wybór terminów lotów. Proszę zauważyć, że zawsze są one związane z ważnymi wydarzeniami na wschodzie Europy. Z tego też powodu fiasko lotu „Apollo-13" wywołało w kołach politycznych USA szczególne zdenerwowanie.

* * *

W GENEWIE toczą się obrady Komitetu Rozbrojeniowego. W ostatnich dniach Stany Zjednoczone i Związek Radziecki przedstawiły nową wersję wspólnego projektu układu o zakazie umieszczania broni nuklearnej na dnie mórz i oceanów. (Projekt wyłącza z zakazu 19-kilometrowy pas wód przybrzeżnych, uznając suwerenne prawa do tego pasa krajów nadmorskich.). Nowa wersja układu uwzględnia zastrzeżenia i uwagi, jakie wyłoniły się w dyskusji nad projektem. Przewiduje także stworzenie systemu kontroli i możliwość co pewien czas korygowania układu. Zdaniem autorów projektu — w maksymalnym stopniu wychodzi on naprzeciw opiniom różnych krajów i może być podpisany jeszcze w bieżącym roku.

Wyłączenie środowiska morskiego z wyścigu zbrojeń jądrowych byłoby ważnym krokiem na drodze zmniejszania nuklearnego niebezpieczeństwa. Mogłoby być również zachętą do całkowitego zrezygnowania z dna mórz i oceanów jako arsenału nie znanych jeszcze generacji broni strategicznych.

Zbieżność czasu zgłoszenia nowego projektu układu z rozmowami SALT w Wiedniu rodzi nadzieje na osiągnięcie nowego postępu. Czy są one uzasadnione — przekonamy się wkrótce.

* * *

NA ZAKOŃCZENIE odnotujmy dwa fakty z tzw. bezpośredniej dyplomacji: przyjazd do Warszawy ministra Spraw Zagranicznych NRD — O. Winzera i zapowiedź wizyty min. S. Jędrychowskiego we Francji. Ale o tym już innym razem.

W. SŁAWSKI

● Zewsząd o wszystkim ● Zewsząd o wszystkim ●

Kariera najemnika

„STERN" — HAMBURG

Waszyngton, Bonn i Tel-Awiw nie przepuszczają żadnej okazji, aby podkreślać — oczywiście w słowach — swoje „współczucie" i „gorącą sympatię" dla rozwijających się krajów Afryki.

Szczególnie jaskrawo pokazała to niedawno zakończona podróż sekretarza stanu USA — W. Rogersa — po dziesięciu krajach Afryki. Ileż tam padło głośnych i pompatycznych słów „o poparciu dążeń Afrykanów do zjednoczenia, wolności i sprawiedliwości", ileż gorących zapewnień usłyszeli mieszkańcy Czarnego Lądu o gotowości Amerykanów do „współpracy" z mieszkańcami Afryki...

A jak jest naprawdę?

— „Stany Zjednoczone, Republika Federalna i Izrael chciały stworzyć na południu Sudanu nową „Biafrę". Aby osiągnąć ten cel, wspomniane państwa usiłowały wykorzystać agenta do specjalnych poruczeń, niemieckiego pułkownika — Steinera. Jednakże 15 grudnia ub. roku „zginął on wraz z grupą najemników podczas starcia z oddziałami naszych wojsk" — powiedział redaktorowi hamburskiego czasopisma „Stern", przedstawiciel rewolucyjnego związku Sudanu — Dżafar Nineiri.

Karierę najemnika rozpoczął Steiner we francuskiej Legii Cudzoziemskiej i w jej szeregach walczył najpierw 7 lat w Indochinach, a następnie 5 lat w Algierii. Na koniec znalazł się w Nigerii, gdzie był jednym z najbliższych współpracowników lidera wschodnionigeryjskich separatystów — Ojukwu.

Zaproszenie do kraju...

„TIMES" — LONDYN

Wszystko wskazuje na to, iż władze izraelskie postanowiły rozprawić się z obywatelami Izraela, którzy przebywają poza granicami kraju i nie ukrywają swej niechęci do polityki prowadzonej przez Tel-Awiw na terenach okupowanych, a szczególnie w Jerozolimie.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych Izraela przesłało do swych ambasad „czarne listy" obywateli tego kraju, należących do ugrupowań lewicowych, antysyjonistycznych, dając jednocześnie ścisłe instrukcje, iż osobom tym nie należy przedłużać paszportów bez zgody odnośnych władz w Izraelu.

Ofiarą tych nowych zarządzeń padli już dwaj obywatele izraelscy zamieszkali w Londynie. Są to: artysta-malarz Nissan Rilov i student wydziału matematycznego jednego z londyńskich college'ów — Rami Heilbronn. Obaj są aktywnymi członkami antysyjonistycznego izraelskiego komitetu rewolucyjnego, działającego za granicą, który jest związany, zresztą luźno, z partią o podobnej orientacji, działającą w samym Izraelu.

Rilov, który uprzednio kilka lat mieszkał w Paryżu, czynił starania o przedłużenie paszportu izraelskiego we Francji. Oświadczono mu jednak w ambasadzie izraelskiej, iż sprawa ta musi być rozpatrywana w Jerozolimie. Próbę przedłużenia paszportu ponowił więc w Londynie. Z tym samym skutkiem. Odpowiednie dokumenty składał Rilov w przepisowym terminie, jednakże wskutek czynionych mu trudności sprawa ciągnęła się tak długo, aż jego paszport stracił ważność.

Heilbronn złożył swój paszport do przedłużenia w ambasadzie izraelskiej w Londynie w styczniu br., ale do dziś nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Ambasada izraelska w Londynie oświadczyła bowiem, że osobom przebywającym poza granicami kraju ponad pięć lat nie będzie się przedłużać paszportów automatycznie. Ale Rilov twierdzi, że w roku 1965 trzykrotnie odwiedzał Izrael, a w ubiegłym roku przebywał w kraju ponad trzy miesiące. Heilbronn ostatni raz był w Izraelu w 1968 roku.

Rilov, Heilbronn i inni członkowie izraelskiego komitetu rewolucyjnego, działającego poza granicami Izraela, wyrażają przypuszczenie, iż władze izraelskie pragną w ten sposób ściągnąć swoich poddanych do kraju, gdzie łatwiej będzie stłumić ich krytykę i gdzie zapewne, stanęliby przed sądem pod zarzutem „szkalowania państwa"...

Atlantyda De Feo

„ESPRESSO" — RZYM

Z początku nic nie zapowiadało burzy. Jeden ze znanych włoskich dziennikarzy przygotował audycję telewizyjną, w której poddał krytyce pewne ustawy włoskiego kodeksu karnego, przypominające koszmarne czasy faszyzmu. Uderz w stół, a nożyce się odezwą: z tezami wspomnianej audycji nie zgodziła się rzymska gazeta „Tempo", znana ze swych profaszystowskich ciągot.

Wkrótce cała sprawa przybrała niemal sensacyjny obrót. Otóż nie kto inny, jak sam zastępca prezesa włoskiej kompanii radiowo-telewizyjnej, socjaldemokrata De Feo, przesłał do redakcji „Tempa" list z przeprosinami za „to wystąpienie", surowo osądził „rozzuchwalonego" dziennikarza z telewizji, a przy sposobności oskarżył o „bolszewizm" przynajmniej połowę pracowników radia i telewizji...

Taki głęboki ukłon urzędnika państwowego, na wysokim bądź co bądź stanowisku, przed profaszystowską gazetą oraz pogróżki pod adresem dziennikarzy-demokratów wywołały głębokie zaniepokojenie i falę oburzenia wśród szerokich kręgów włoskiego społeczeństwa. Pracownicy włoskiego „Telecentrum" ogłosili 24-godzinny strajk protestacyjny oraz zażądali natychmiastowej dymisji De Feo. Nawet najwyższe władze włoskiego radia i telewizji, po nadzwyczajnym posiedzeniu, publicznie odżegnały się od deklaracji swego kolegi i zdecydowały jego opinie.

Socjaldemokrata De Feo nie jest, bynajmniej, w swych poczynaniach nowicjuszem. Kilka lat temu, po objęciu wysokiego stanowiska w telewizji wziął na siebie rolę gwaranta i obrońcy koncepcji atlantyckich, rolę obrońcy cywilizacji zachodniej i w swej usłużności stał się bardziej papieski niż sam papież. Na tle tego wydarzenia znów wysuwa się na czoło problem demokratyzacji radia i telewizji — tych instrumentów powszechnego przekazu informacji, utrzymywanych przecież ze środków włoskich podatników.

Ostatni skandal wykazał nie pierwszy już raz, że w informacji nie ma obiektywizmu, że nie oddaje ona wiernie poglądów większości społeczeństwa włoskiego. Stale się o tym dyskutuje, ale na razie bez widocznych rezultatów. Nadal obowiązuje zakaz obiektywnego naświetlania tych czy innych aktualnych problemów polityki międzynarodowej, takich, jak na przykład rasizm w USA, wojna w Wietnamie, reżim greckich pułkowników, żądania włoskich robotników...

„Tajne kartoteki" w fabrykach NRF

„SUNDAY TIMES" — LONDYN

Związki zawodowe w Niemczech zachodnich wypowiedziały zdecydowaną walkę firmom, które utrzymują płatnych agentów — denuncjatorów, zbierających drobiazgowe nawet informacje o prywatnym życiu zatrudnionych w nich pracowników.

Niedawno, w wielkiej fabryce kabli „Fentel und Hilon" w Kilonii, robotnicy i personel administracyjny ogłosili strajk protestacyjny przeciwko szpiegowskiej działalności firmy. Jednego z urzędników, kierującego sprawami bezpieczeństwa oskarżono o prowadzenie tajnej kartoteki, w której rejestruje najdrobniejsze fakty z osobistego życia pracowników fabryki, nie wyłączając nawet zdrad małżeńskich. Związek zawodowy metalowców, liczący ponad dwa miliony członków, podał firmę „Fentel und Hilon" do sądu. W trakcie przewodu sądowego ujawniono fakt, iż etatowy agent firmy był powiązany z policją i miał w fabryce własnych agentów-informatorów.

W prasie zachodnioniemieckiej coraz częściej pojawiają się informacje, świadczące o tym, iż duże firmy z reguły utrzymują rozbudowany sztab „pracowników bezpieczeństwa" który „czuwa nad morale" robotników i urzędników, a jednocześnie kontroluje ich zapatrywania polityczne.

Listy do Redakcji

WIELCE SZANOWNY
TOWARZYSZU
REDAKTORZE!

Wierzę, że dzięki Waszej uprzejmości będę miał możność opublikowania na łamach Waszego poczytnego pisma następującego apelu:

Wkrótce po zajęciu Lwowa przez hitlerowców, jesienią 1941 roku, na górze Wronowskich, niedaleko lwowskiego urzędu pocztowego, w pomieszczeniach twierdzy, zbudowanej jeszcze prze Austriaków i zwanej „Cytadelą", faszyści założyli obóz koncentracyjny dla jeńców wojennych różnych narodowości. Był to jeden z najokrutniejszych obozów śmierci w tak zwanym „dystrykcie Galicja". Jego gehennę przetrwali tylko nieliczni.

Studiując materiały z lat okupacyjnych, w odnalezionych przez nas archiwach, odkryłem notę z dnia 21 maja 1944 roku następującej treści:

„Dzisiejszej nocy zbiegło z Cytadeli, w kierunku ulicy Janowskiej i dworca Kleparowskiego, 300 jeńców sowieckich. Natychmiast rozpocząć pogoń i wysłać patrole".

Telefonogram ten, podpisany przez porucznika policji, został rozesłany do wszystkich komisariatów policji faszystowskiej we Lwowie i w jego okolicach.

Udokumentowany fakt ucieczki tak wielkiej grupy więźniów z hitlerowskiego obozu śmierci, posłużył mi swego czasu za temat do opowiadania „Ucieczka z Cytadeli", które ukazało się w książce pt. „Pod obcymi sztandarami", napisanej przeze mnie wespół z profesorem Uniwersytetu Lwowskiego, Michałem Rudnickim. Książka ukazała się w wydawnictwie „Młoda Gwardia". Do tego wydarzenia powracałem niejednokrotnie. Na podstawie tego faktu został też napisany scenariusz do filmu „Iwanna", zrealizowany przez studio im. Dowżenki w Kijowie, jak również dokonano szeregu opisów tego wydarzenia, które weszły do książki „Granica w ogniu". Temat opracowuję w dalszym ciągu.

Być może, pośród Czytelników Waszego poczytnego pisma znajdą się ludzie, którzy cokolwiek wiedzą o tym niezwykłym wydarzeniu, jak również o warunkach egzystencji więźniów „Cytadeli", dręczonych i mordowanych w tej hitlerowskiej katowni.

Będę głęboko wdzięczny każdemu polskiemu Czytelnikowi, który wiedząc coś o ucieczce jeńców radzieckich z Cytadeli lwowskiej, zechce do mnie o tym napisać na adres:

ZSRR. Moskwa, G-69, ulica Hercena, dom 53, Moskiewski Związek Literatów, dla Władimira Bielajewa.

Swego czasu, na podobny apel odpowiedziało bardzo wielu polskich Czytelników — naocznych świadków zamordowania włoskich jeńców wojennych przez esesmanów. Te informacje pozwoliły mi na napisanie i opublikowanie powieści dokumentalnej pt. „Śladami zaginionych garnizonów". Bardzo im za to dziękuję! Książka miała trzy wydania w Związku Radzieckim i we Włoszech.

I tym razem liczę na podobną pomoc, z góry dziękuję i życzę wszelkiej pomyślności.

Z poważaniem
WŁADIMIR BIELAJEW
LAUREAT NAGRODY
PAŃSTWOWEJ ZSRR

MOSKWA, 10 kwietnia 1970 r.

JAN KOPROWSKI

Wyprawa na Wschód

(Dziennik podróży)

Poniedziałek, 6 kwietnia

Zamiast o 8.25 wylatujemy z Okęcia w dwie godziny później. Czekaliśmy na samolot z Pragi czeskiej, którego pasażerowie przesiadali się na nasz, lecący do Moskwy. Delegacja nasza składa się z sześciu osób: Jerzy Putrament (przewodniczący), Janina Dziarnowska, Marian Kubicki, Wacław Sadkowski, Leon Wantuła i autor tych słów. Samolot wypełniony do ostatniego miejsca. Pogoda piękna. Lecimy pod wysokim błękitem w oślepiającym słońcu. Ale w miarę jak zbliżamy się do Moskwy — coraz więcej chmur. Lotnisko Szeremietiewo wita nas deszczem. Wśród oczekujących nasz dobry znajomy — Wiktor Borysow, przedstawiciele Związku Pisarzy Radzieckich i przedstawiciele ambasady polskiej w Moskwie. Instalujemy się w hotelu „Pekin" przy placu Majakowskiego, na którym stoi dużych rozmiarów pomnik tego poety i gdzie każdego roku w październiku odbywa się Dzień Poezji. Poeci recytują tu swoje wiersze, a słuchaczy zbiera się kilka tysięcy. Nie mogę sobie czegoś podobnego wyobrazić u nas. Chyba, że powstałby z martwych sam wieszcz Mickiewicz. Wtedy, być może, przyszłoby wiele osób z ciekawości. Ale i to nie jest pewne. Jutro zaczyna się radziecko-polskie sympozjum, zorganizowane przez Związek Pisarzy ZSRR z okazji 100 rocznicy urodzin Lenina. Ale na razie mamy trochę czasu, aby pochodzić po Moskwie. Od mego ostatniego tutaj pobytu minęły dwa lata. Moskwa wówczas była bardzo rozkopana. Teraz robi wrażenie dobrze uporządkowanej, a Nowy Arbat, ładnie wieczorem oświetlony, podbija swoim wielkomiejskim rozmachem. Jerzy Putrament kupuje cygara, my oglądamy wystawy, ruch uliczny, światła odbijające się w zadeszczonej jezdni.

W hotelu ostatnia korekta referatu, który mam jutro wygłosić.

Wtorek, 7 kwietnia

Sympozjum na temat „Lenin a literatura" odbywa się w Domu Pisarza przy ulicy Worowskiego. Grupie radzieckiej przewodniczy naczelny redaktor „Woprosów literatury" — Witali Ozierow, naszej — Jerzy Putrament. Wzajemna prezentacja. Pierwszy referat wygłasza Władimir Piskunow, krytyk starszego pokolenia. Mówi z pamięci. W ogóle wszyscy Rosjanie, zabierający głos, obywają się bez kartek. Można im pozazdrościć talentów krasomówczych. Z naszej strony przemawiali: Wacław Sadkowski (o marksistowsko-leninowskich kryteriach oceny dzieła literackiego), Janina Dziarnowska (stosunek młodzieży do postaci Lenina), Jan Koprowski, (Lenin w poezji polskiej) i Jerzy Putrament, który zagajał, uzupełniał i podsumowywał. Mówiliśmy niedługo i w sposób możliwie konkretny. Wypadło to nieźle. W dyskusji zabrało głos kilkunastu mówców. Dwa zwłaszcza wystąpienia naszych gospodarzy utrwaliły się w mej pamięci. Maria Prileżajewa, pisarka dla młodzieży, mówiła o swojej powieści „Lenin w Szuszenskoje", w której opisała polską rodzinę Promińskich z Łodzi, przebywającą na wygnaniu i zaprzyjaźnioną z Leninem i Krupską. Relacja o zbieraniu materiału a następnie o rezonansie, jaki książka ta wywołała (m. in. listy uzupełniające wizerunek Promińskiego) była nie tylko ciekawa, ale wręcz pasjonująca. Władimir Bielajew (nawiasem mówiąc znający język polski) powiedział: „Gdyby Lenin żył dłużej, nie doszłoby do rozwiązania Komunistycznej Partii Polski, w której było wielu wybitnych komunistów, żeby wspomnieć Wierę Kostrzewę czy Leńskiego. Likwidacja nastąpiła w przededniu wojny i pozbawiła polskich komunistów kierownictwa. Fakt ten uznano po wojnie za błąd i dobrze, że błąd ten został właściwie oceniony".

Mieliśmy obawy, że sympozjum może się rozpłynąć w jałowej frazeologii. Nie stało się tak, na szczęście. Dyskusja była żywa i dotyczyła również spraw politycznych. Polemizowano, na przykład, z zarzutami przeciwników leninizmu na Zachodzie, rozpisujących się ostatnio na ten temat w prasie M. innymi z tym, że leninizm jest zjawiskiem wyłącznie rosyjskim i że nie sprawdził się on (leninizm) w praktyce państwa radzieckiego. Każdy, kto orientuje się, jaka była Rosja przedleninowska i czym stała się po Rewolucji Październikowej, musi podobne zarzuty uznać nie tylko za nieobiektywne, ale po prostu za ignoranckie. Po sześciu godzinach skończyliśmy naradę, lecz, oczywiście, do spraw na niej poruszonych będziemy powracać w naszych jutrzejszych i pojutrzejszych rozmowach.

Środa, 8 kwietnia

O godzinie 13.00 spotkanie w redakcji „Woprosów literatury". Ale przedtem przejażdżka autem po mieście. Na ulicy Pietrowka przed polskim sklepem „Wanda" olbrzymia kolejka. „Pewnie przyszły nowe torebki damskie i teczki skórzane, które mają tu wielkie powodzenie" — mówi nasz przewodnik. Nie mamy czasu, aby to sprawdzić. Wiadomo nam jednak, że sklep cieszy się dużym wzięciem, a moskwiczanki bardzo lubią polskie kremy, wyrabiane przez poznańską „Lechię".

Spotkanie w redakcji „Woprosów literatury" trwało dwie godziny. Wciąż jeszcze wiemy o sobie mało. Wzajemna informacja o naszych literaturach pozostawia wiele do życzenia. Jest ona zdawkowa, cierpi na nadmiar grzeczności. O książkach naszych piszemy w tonacji uprzejmie — nijakiej, by nikogo nie urazić. „Woprosy literatury" to „czasopismo czasopism", jak ktoś dowcipnie powiedział. Zajmuje się ono problemami literatury radzieckiej i zagranicznej, w tym również polskiej. Ale Witali Ozierow stwierdził, że o literaturze polskiej pisały „Woprosy" za mało i że trzeba ten stan rzeczy zmienić. Piliśmy kawę i herbatę, przegryzając ciastkami. Koniaku nie było.

Czwartek, 9 kwietnia

Długo jeździliśmy po mieście, nim odnaleźliśmy lokal redakcji „Literatury radzieckiej". Mieści się ona prawie na peryferiach Moskwy, ale już wkrótce przeprowadzi się do śródmieścia. Miesięcznik „Literatura radziecka" ukazuje się w czterech wersjach językowych: angielskim, hiszpańskim, niemieckim i polskim. Nas interesuje, naturalnie, wersja polska, zresztą w Polsce dobrze znana. Spotkaniu przewodniczy naczelny redaktor wszystkich wersji, znany i ceniony pisarz, Sawwa Dangułow, ale udział biorą w nim przede wszystkim pracownicy redakcji polskiej z jej szefem — Walerianem Arcimowiczem. Wśród obecnych, z których większość mówi doskonale po polsku znajduje się także córka Wandy Wasilewskiej — Ewa. Ożywiona rozmowa przy winie, kawie i czekoladzie. Chwalimy dwa antologijne numery z 1967 roku: jeden poświęcony poezji, a drugi prozie. Są one czymś w rodzaju historii literatury radzieckiej ostatnich lat pięćdziesięciu. Więcej takich numerów, może również poświęconych literaturom poszczególnych republik. Redaktorzy ciekawi są naszego zdania o jakości przekładów, o polszczyźnie „Literatury radzieckiej". Mówimy szczerze: bardziej podobają się nam przekłady prozy, niż wierszy. Język przekładów poetyckich nieco akademicki, za mało współczesny. Jest to, być może, uwarunkowane charakterem oryginałów. Gospodarzy interesuje jeszcze, jakie prądy ożywiają współczesną literaturę polską. Wypowiadamy nasze sądy i opinie. Wydaje się, że sytuacja literatury polskiej jest bardziej skomplikowana, niż sytuacja literatury radzieckiej.

Spotkanie przeciąga się ponad planowany czas. Gospodarze żegnają nas z żalem, a i my chętnie byśmy tu jeszcze pozostali. Niestety, nie można tego uczynić. Wieczorem wyjazd pociągiem do Leningradu.

Piątek, 10 kwietnia

Jesteśmy w Leningradzie. Trochę cieplej, niż w Moskwie, ale także pochmurno. Po zainstalowaniu się w hotelu „Sowietskaja", idziemy na śniadanie do restauracji hotelowej. I oto co za niespodzianka: przy jednym ze stolików siedzi dr Hermann Buddensieg, redaktor „Mickiewicz — Blaetter" w Heidelbergu, tłumacz „Pana Tadeusza" na niemiecki. Witamy się jak starzy znajomi (w istocie jesteśmy nimi) i stwierdzamy zgodnie, że świat jest bardzo mały. Buddensieg pokazuje mi serię zdjęć z uroczystości nadania mu tytułu doktora honoris causa przez Uniwersytet Poznański, z którymi nie rozstaje się nawet w podróży. Rozmawiamy krótko, bo za dwie godziny Buddensieg odlatuje do stolicy Gruzji — Tbilisi. Ma zamiar przełożyć na niemiecki epos Rustawellego „Witeź w tygrysiej skórze" i to jest cel jego wyprawy.

Przed południem spotkanie w tutejszym Związku Pisarzy. Obecni m. innymi Daniło Granin i Andrej Bitow, znani z przekładów swoich książek w Polsce. Na początku rozmowa wcale się nie klei. Rozgadujemy się powoli i z trudem. Nie, żeby nie było o czym mówić, ale jakoś brak nastroju, a może po prostu jesteśmy zmęczeni podróżą.

Wieczorem idziemy do Teatru Rajkina na program pn. „Cwietafor". Nie miałem okazji widzieć Rajkina w Polsce na jego niedawnych występach, więc ciekawość i zainteresowanie duże. W teatrze komplet widzów. I tak jest właściwie codziennie. Rajkin to nie tylko znakomity aktor, ale równie znakomity mim. Większość numerów programu wykonuje on sam, zespół tworzy jedynie tło dla niego. Robi to wybornie. Najbardziej wzruszył mnie jego popisowy numer „Lekarz", ukazujący udręki lekarza rejonowego. A przecież odczuwa się w niektórych punktach tego doskonałego programu dłużyzny. Wydaje się, że niektóre skecze są rozgadane ponad miarę, inne cierpią na brak wartkiej akcji i nie posiadają zaskakującej pointy. Ale publiczność reaguje aktywnie, nie szczędzi braw, śmieje się z uczuciem ulgi, gdyż rzeczy widziane na scenie jakże często ogląda ona w codziennym życiu.

Sobota, 11 kwietnia

Zwiedzanie Smolnego. Pokoje, w których mieszkał Lenin z Nadieżdą Krupską. Dwa fotele, obleczone białymi pokrowcami i stół, znane z obrazu Brodskiego i licznych jego reprodukcji w książkach i gazetach. Za przepierzeniem sypialnia: dwa proste łóżka i nic ponadto. Jestem tu już po raz drugi. Poprzednim razem słuchaliśmy utrwalonego na płycie głosu Lenina z tym jego charakterystycznym gardłowym „r". Teraz przewodniczka nie demonstruje nam płyty. Nie wiem, dlaczego i nie mam odwagi spytać jej o to.

Idziemy długimi korytarzami i wyobrażamy sobie (próbujemy sobie wyobrazić), ile tu było ruchu w gorących dniach października 1917 roku i później. Po zwiedzeniu Smolnego koledzy Kubicki, Sadkowski i Wantuła, którzy są w Leningradzie po raz pierwszy, idą do Ermitażu, Dziarnowska zostaje w hotelu, Putrament jest w Warszawie (wyjechał wcześniej), a my z Borysowem drałujemy na Newski Prospekt do antykwariatów. Piękny jest ten Newski Prospekt. Piękny jest Leningrad. Przypominają się Gogol i Dostojewski, którzy tak wiele stron w swojej twórczości poświęcili opisowi tego miasta. U bukinisty zdobywam dawno poszukiwaną książkę ostatniego sekretarza Lwa Tołstoja, Bułhakowa, pt. „Lew Tołstoj w poslednij god jewo żizni". Jest to drugie, poprawione i uzupełnione wydanie z 1918 roku. Wieczorem znowu do teatru, tym razem na balet Piotra Czajkowskiego „Spjaszczaja krasawica" (Śpiąca królewna) z Kołpakową w głównej roli Aurory. Tańczy pięknie. W ogóle świetny balet. Ale scenografia wcale nam się nie podoba. Tryskają fontanny, a drzewa zupełnie jakby wycięte z ogrodu. Wszystko zalatuje staroświeckością na milę. Aż żal, że w takich dekoracjach tańczą tak wytrawne baleriny i tacy baletmistrze.

Niedziela, 12 kwietnia

Wyjazd autem nad Zatokę Fińską, do Razliwia, gdzie w lipcu i sierpniu 1917 roku ukrywał się Lenin w szałasie. Oczywiście tamtego szałasu już dawno nie ma, na tym miejscu stoi nowy, zrobiony ze słomy i siana. Obok zbudowano muzeum, zawierające zdjęcia i dokumenty z burzliwych dni rewolucji. Niedziela, ciepło, słońce przedziera się przez chmury, nic tedy dziwnego, że pełno wycieczek, również zagranicznych. Rozpoznajemy grupy Anglików i Finów. Tych ostatnich tutaj bardzo dużo. Z Helsinek do Leningradu zaledwie 250 kilometrów. Przyjeżdżają koleją i autokarami, gromadnie i w pojedynkę.

Kilkanaście kilometrów dalej znajduje się dom-muzeum największego malarza rosyjskiego, Ilji Repina. Jedziemy tam. Do roku 1944 miejscowość ta należała do Finlandii i nazywała się Kyokkala, dopiero później, po przyłączeniu tych terenów do ZSRR, przemieniono ją na Repino. Willa Repina, w której mieszkał on trzydzieści lat, przedstawia się okazale, choć styl to dziwaczny. Wokoło świerki, jodły, i brzozy, w ogrodzie studnia, w głębi pomnik artysty, zresztą skromny. Zwiedzamy dom, nazwany przez Repina „Penaty" (w wierzeniach starożytnych Rzymian penaty to domowe bóstwa opiekuńcze). Pełno w nim obrazów, fotografii, dokumentów, zachowane książki i przybory do pracy. Portrety Tołstoja, Korolenki, Gorkiego, autoportret artysty z paletą, na piętrze — jego pracownia z pięknym kominkiem. Gdzieś na ścianie cytat z listu Repina: „Piękno — rzecz smaku. Dla mnie całe piękno w prawdzie".

W pobliżu willi Repina znajdował się również dom Leonida Andrejewa, ale nie ocalał z wojennej pożogi. Głucho też i o samym pisarzu, którego twórczość uznano za nihilistyczną i dekadencką.

Przed wyjazdem do Moskwy poszliśmy jeszcze do cyrku. Bardzo lubię cyrk. Najbardziej podobali mi się ekwilibryści, a wśród nich młody chłopiec, prawie dziecko, który dokonywał cudów zręczności. Świetny jest również klown Rumiancew, występujący pod pseudonimem artystycznym Karandasz. Malutkiego wzrostu, z wąsikami, przypomina nieco Charlie Chaplina. Jego komizm śmieszy i wzrusza, jest to więc najwyższy rodzaj komizmu. Późno w noc powrót do Moskwy.

Poniedziałek, 13 kwietnia

Znowu w Moskwie. Zimno i deszcz. Dziś mamy w programie jedynie obejrzenie gabinetu i pokojów mieszkalnych Lenina na Kremlu. Długo przypatruję się biurku, przy którym Lenin pracował. Zwykła obsadka ze stalówką, dwa telefony, suszka do atramentu, kalendarz, lampa z zielonym abażurem, nóż do przecinania książek, kubek na ołówki — to rzeczy, które pozostały. Za fotelem, przy ścianie, duża szafa biblioteczna, obok biurka etażerka obrotowa, na której znajdują się książki podręczne, do biurka przylega stół i dwa skórzane fotele dla interesantów i gości. Pokoje mieszkalne zajmowali Lenin z Krupską, młodsza siostra Lenina i jego matka. Na ścianie przepiękny portret matki. O skromności Lenina może świadczyć fakt, że kiedy zaproponowano mu przeniesienie się do okazalszego pomieszczenia — odmówił. Tutaj wśród książek i znanych sobie sprzętów czuł się najlepiej. Pracował w tym gabinecie od 12 marca 1918 do 12 grudnia 1922 roku. Później jako człowiek ciężko chory przebywał poza Moskwą. Lenin znał kilka języków wyśmienicie (angielski, francuski, niemiecki), czytał po polsku i włosku, rozumiał czeski i szwedzki, a z czasów gimnazjalnych posiadał znajomość greki i łaciny. Gabinet i pokoje utrzymane bardzo starannie. Na odchodnem oprowadzająca daje nam w darze przewodniki, w zależności od znajomości języka, w wersji angielskiej, francuskiej lub niemieckiej.

Resztę dnia spędzamy na chodzeniu po mieście. Kupujemy drobne upominki dla bliskich i znajomych.

Wtorek, 14 kwietnia

Rano w hallu hotelowym trafiam na Jana Bojara z Pragi. Tak niedawno (w lutym) widzieliśmy się w Bukareszcie, a w czerwcu zobaczymy się w Pradze, do której pojadę wraz z Wiesławem Jażdżyńskim. Jan Bojar jest pisarzem i politykiem Wysoki, sympatyczny, rozumny. Rozmowa jest krótka, bo obaj się śpieszymy. Więc — do zobaczenia za kilka tygodni.

Dzień chmurny i deszczowy. Chodzimy po Moskwie pod parasolami. Wieczorem z Wacławem Sadkowskim w Teatrze im. Gogola na sztuce Aleksego Tołstoja „Zagawor imperatricy" (Spisek cesarzowej). Sztuka dobra, ale wystawiona nienadzwyczajnie. Najlepsza rola Rasputina w wykonaniu B. Czirkowa. Nie żałowaliśmy jednak, żeśmy poszli. Podobały nam się dekoracje i ogólne wyposażenie sceniczne, które znacznie odbija od panujących tu gustów naturalistycznych. Po teatrze pakowanie rzeczy. Jutro wracamy do kraju.

Środa, 15 kwietnia

Piękna pogoda. Słońce. Żegnamy Moskwę. O ósmej z rana wylatujemy z Szeremietiewa. Za dwie godziny będziemy w Warszawie. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.

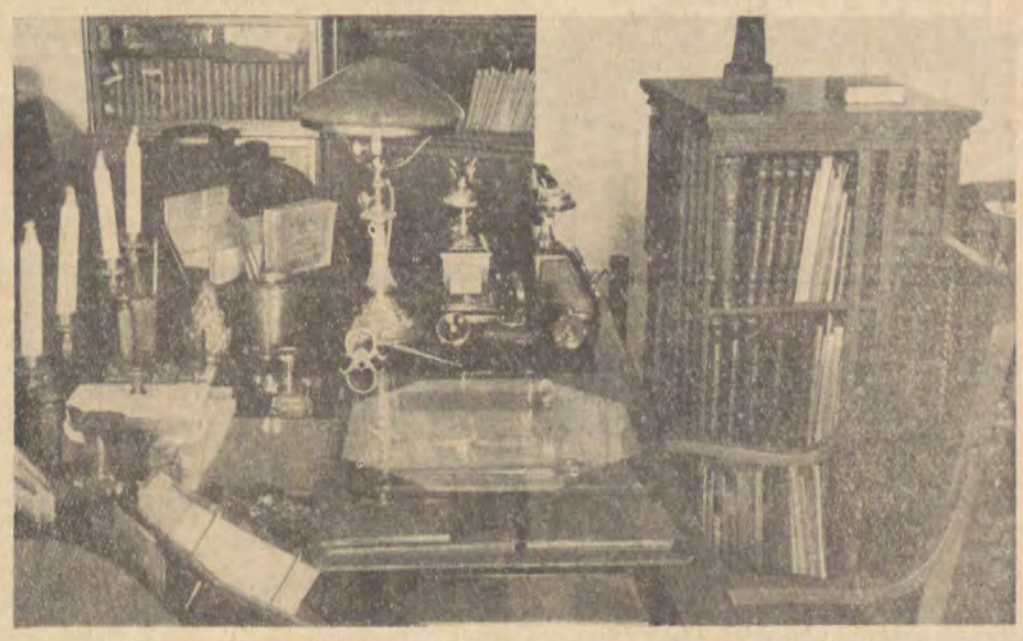

Gabinet Lenina na Kremlu

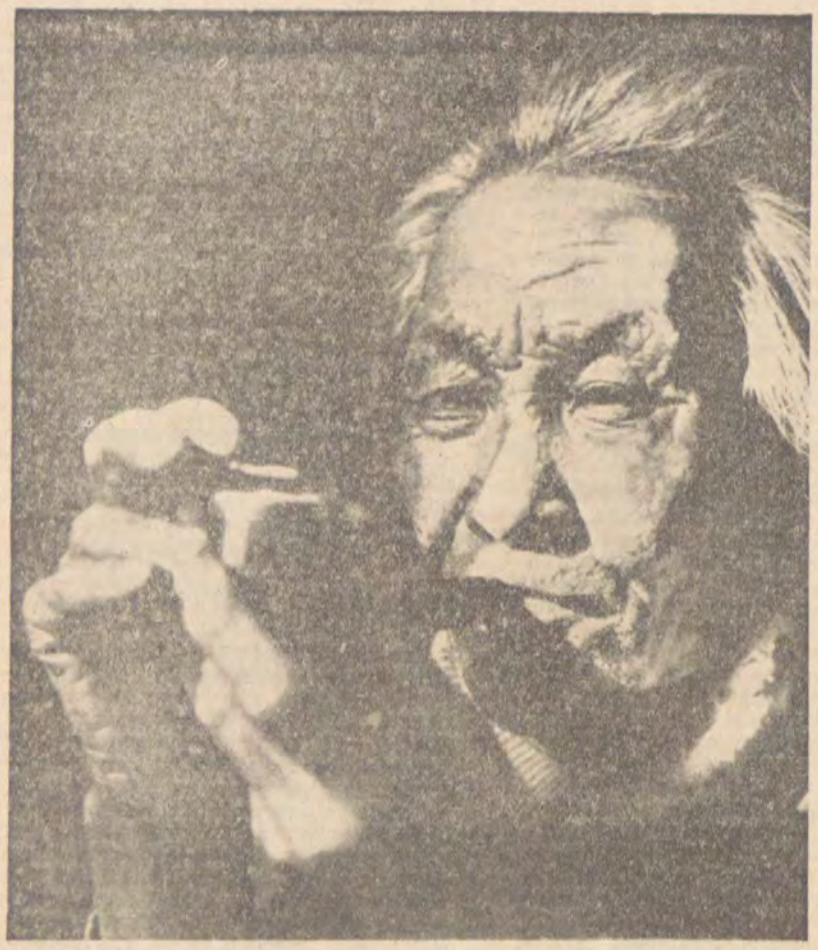

KAROL BADZIAK

Siwowłosi

Siwowłosi — jest ich coraz więcej. W ubiegłym roku żyło w Polsce 4.263 tysiące ludzi po sześćdziesiątce. Za piętnaście lat będziemy ich mieć grubo ponad 5 milionów. Co prawda nie sprawiają tylu kłopotów wychowawczych, co długowłosi, niemniej zaczynają stanowić problem o dużej randze społecznej. Świadczy o tym, m. in., choćby częstotliwość publikacji na ten temat w ostatnim czasie. Dzieje się tak chyba nie tylko dlatego, że młodzieżowi publicyści się zestarzeli i przerzucili na problematykę bliższą swemu wiekowi. Dziennikarzy zresztą ten problem w ogóle nie dotyczy, żyją stosunkowo najkrócej, umierają zaraz po pięćdziesiątce. Oczywiście w sensie statystycznym. Przeciętny Polak natomiast żyje obecnie o dwadzieścia lat dłużej niż przed wojną, a o dwadzieścia pięć lat dłużej niż Hindus. Także statystycznie.

Wyłania się w związku z tym kwestia: jak ta wzrastająca z dnia na dzień armia rencistów i emerytów oraz inwalidów ma ułożyć sobie dalszą egzystencję? Starość niestety zwykła nam się kojarzyć bardziej z goryczą, niedołęstwem i melancholią, niż z eufemistyczną złotą jesienią.

Prawda ogólna jest taka, że dotychczas starość jest formą degradacji społecznej i materialnej. Odejście z czynnej pracy zawodowej łączy się w sposób naturalny z obniżeniem pozycji społecznej. Zmieniają się także warunki materialne „rentobiorcy", niestety na gorsze. Zaledwie nikły procent weteranów pracy posiada u nas emerytury równe dotychczasowym zarobkom. Rzecz jasna i tutaj jest wyraźny postęp, renty stopniowo ulegają zwiększeniu.

W sumie więc starość, która z natury swej nie jest wesoła, nie rysuje się zbyt optymistycznie. Ponieważ zaś jest to proces raczej nieunikniony, więc wszystkich nas ten sam los czeka. Ma to i swoją dobrą stronę, o tyle, że wszyscy jesteśmy tym problemem osobiście zainteresowani. Stosunek do ludzi starych jest stosunkiem do samych siebie tylko trochę dalej w czasie.

„Sposób, w jaki naród dba o swych starych ludzi — pisał już w XVII wieku holenderski lekarz Van Deventer — świadczy o jego rozwoju obyczajowym i duchowym".

Otóż dzisiejsi emeryci znajdują się w szczególnie kiepskiej sytuacji i to nie tyle nawet materialnej, co psychicznej. Przeżyli oni dwie wojny światowe, wielu potraciło rodziny i niejednokrotnie dorobek całego życia. Brali czynny udział w wojnie, a po wojnie odbudowywali kraj nie zastanawiając się, czy w kraju tym znajdą na starość odpowiednią opiekę i pomoc. Cóż, w życiu istnieje pewien automatyzm. Ogólnospołeczne procesy, które sami spowodowali, wyobcowały ich na przykład z tradycyjnej, wielopokoleniowej rodziny. Do starości, która jak świat światem wiązała się ze względną samotnością doszła samotność bezwzględna. A czyż może istnieć coś gorszego niż starość pomnożona przez samotność?

Obowiązek opieki i utrzymania ludzi starych w tej sytuacji przejęło państwo. Mamy w Polsce 440 domów opieki, w których mieszka 46.000 starych ludzi. Tego nigdy nie było. Ale 15.000 osób zakwalifikowanych do domów opieki czeka jeszcze w kolejce. Tymczasem stary człowiek nie ma za wiele czasu na czekanie. Ponadto opieka państwowa ma jednak charakter administracyjny, bo innego mieć nie może. Tak jak dom dziecka nie zastąpi rodziców, tak dom starców nie zastąpi staremu człowiekowi rodzinnej opieki i atmosfery.

Może ktoś powiedzieć, że przecież starzy ludzie sami uciekają od rodziny, emancypują się, a ich ideałem stała się samodzielność, samowystarczalność i kawalerka. Mam nieco wątpliwości na ten temat, choć znam wyniki ankiety przeprowadzonej w wielu krajach i różnych środowiskach z inicjatywy światowej służby zdrowia. Jej wynik — 89 procent ludzi starych pragnie możliwie długiej niezależności i samowystarczalności. Ale to nie jest swobodny wybór, to jest skutek stosunku dzieci do rodziców. Skutku nie można zaś brać za przyczynę. Warto zauważyć, że ta rezygnacja dzieci ze współżycia z rodzicami odbywa się z wielką łatwością. Współżycie w tym wypadku oznacza opiekę. Młodzi chętnie zrzekli się dotychczasowych rodzinnych obowiązków na rzecz społeczeństwa, co w naszym krajowym wypadku oznacza po prostu — na rzecz państwa.

Jako uzasadnienie podaje się zbyt mały metraż budowanych obecnie mieszkań, trudności finansowe w utrzymaniu większego domu, różnice mentalności między starszą a młodszą generacją.

Trudno się z tym nie zgodzić, tym bardziej, jeśli się tego bardzo chce, gdyż wtedy cała sytuacja jest wygodniejsza. Zwłaszcza dla młodszych generacji. Charakterystyczne, że pogląd traktujący współżycie dorosłych dzieci z rodzicami jako anachronizm znalazł podejrzanie szybki aplauz. Nic dziwnego, jest to idea rozgrzeszająca łatwo życiowe wygodnictwo, egoizm, obojętność, brak poczucia odpowiedzialności za los starego człowieka, i wreszcie brak umiejętności współżycia społecznego, które zaczyna się już w najmniejszej komórce społecznej, jaką jest właśnie rodzina. Usuwanie starych ludzi z życia rodzinnego, jest usuwaniem ich również z życia w społeczeństwie. Pensjonariusze domów opieki są o wiele mniej aktywni życiowo i społecznie niż renciści i emeryci, mieszkający wspólnie z dziećmi.

Podsumujmy. Dziś stary człowiek odchodzący na emeryturę do domu starców, odchodzi nie tylko z czynnego życia zawodowego, lecz równocześnie z życia rodzinnego i społecznego. Często zdarza się, że zmienia także miejsce zamieszkania, a więc zrywa nici z naturalnym środowiskiem sąsiedzkim, a także związki z zakładem pracy.

To nie przypadek, że przed dziesięciu laty powstał Zjednoczony Związek Emerytów, Rencistów i Inwalidów. Liczy on ponad 400 tysięcy członków. Reprezentuje interesy ludzi starych, skupia tych, którzy stracili kontakt z własnym związkiem zawodowym. Jest to najbiedniejszy związek w Polsce. Składka miesięczna wynosi 3 złote. Wspierają go nieco zakłady pracy i przedsiębiorstwa, niestety jest to wsparcie dość luźne. Niedawno łódzki i wojewódzki oddział Związku zwrócił się do czterdziestu przedsiębiorstw o pomoc finansową — odpowiedziało na ten apel zaledwie sześć. Warto więc wymienić sojuszników starych ludzi. Są to: „Agroma", /„Agroprojekt", Wojewódzkie Zjednoczenie PGR, Wojewódzki Związek Kółek Rolniczych, Wojewódzka Spółdzielnia Spożywców „Społem", Hurtownia nr 1 Woj. Przedsiębiorstwa Hurtu Spożywczego w Łodzi. Łódzka i wojewódzka organizacja Związku ma opinię dobrze spełniającej swe obowiązki. Bardzo wielu członków tej organizacji pracuje społecznie. 360 osób uczestniczy w pracach komisji rad narodowych, 121 — w charakterze opiekunów społecznych, 56 w społecznych komisjach pojednawczych, 45 — w charakterze ławników sądowych, 950 — działa w terenowych kołach FJN, w komitetach blokowych i osiedlowych.

Podstawowa działalność Związku ma charakter samopomocowy. Związek pomaga swym członkom finansowo, rzeczowo i moralnie. Oczywiście w miarę swych skromnych, aż zbyt skromnych możliwości. Praca aktywnych działaczy tej organizacji zasługuje na najwyższe uznanie. Organizują pomoc zniedołężniałym, opiekę lekarską, prawną, załatwiają wczasy, sanatoria, rozrywki kulturalne itp. Związek posiada również swój klub, który mieści się przy Piotrkowskiej 215. Jest to najskromniej wyposażona placówka tego typu w Łodzi. Parę skrzypiących stolików, kilka starych, twardych, chwiejących się krzeseł i to wszystko.

Związek posiada również swoją trybunę. Jest nią miesięcznik „Głos". Pozwolę sobie zacytować fragment jednego z artykułów, jaki ukazał się niedawno na łamach tego czasopisma. Najlepiej bowiem oddać głos samym zainteresowanym.

„Traktowanie starych ludzi dzisiaj pozostawia wiele do życzenia. Oficjalnie wszyscy wyrażają się o nas z szacunkiem i uznaniem. Sytuacja się zmienia, gdy trzeba dla nas coś konkretnie zrobić. A jeśli od czasu do czasu uda się coś zrobić — autorzy „sukcesu" zachwycają się sami sobą: patrzcie, jacy my jesteśmy wspaniałomyślni, ile nam zawdzięczacie(...)"

Wydaje się, że należałoby w pierwszej kolejności ponowić apel do zakładów pracy i organizacji związkowych — o budowę domów środowiskowych, domów — pensjonatów na zasadzie odpłatności — dla rencistów, wymagających opieki. Byłaby to najlepiej pojęta forma troski o los zasłużonego pracownika. Odpowiednio bowiem urządzony dom rencistów, stwarzający mu znośne warunki bytowe stałby się dla niego własnym domem. Niestety, niektóre związki zawodowe nie doceniają problemu starzenia się ludzi i domów takich nie budują. Posiadają je tylko nieliczne związki jak: pracownicy służby zdrowia, bankowcy, kolejarze, aktorzy, nauczycielstwo i niektóre inne.

Włókniarzy, niestety, wśród tych „innych" nie ma.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW":

- **RYSZARD MUZIKA — Frontowy notatnik zwiadowcy**
- **JÓZEF DUTKIEWICZ — Kariera Jerzego Pompidou**
- **JOLANTA MACH — Autoportret Orsona Wellesa**

Poza tym: felietony, recenzje, nowela kryminalna.

CZERWONA DROGA

Dalszy ciąg ze str. 1

No, ale już wtedy miałem poszczerbioną duszę i ciało poszczerbione nie gorzej niż niejeden dorosły mężczyzna, więc może dlatego pamiętam te słowa: uczciwy, szczery komunista, i zarys twarzy człowieka pamiętam, który uwijał się żwawo po czarnych, żwirowanych alejkach fabryki, rozlepiając na wyszczerbionych murach odezwy, wygłaszając płomienne mowy.

Nieraz dyskutował z moim ojcem. Ojciec był trochę na „nie", więc dyskusje kończyły się kłótnią, lecz taką przyjacielską kłótnią, bo obaj byli prawymi ludźmi i chociaż inaczej patrzyli na świat, każdy z nich przecież kochał po swojemu ten kraj.

— Pozdrów go ode mnie — powiedział ojciec, kiedy przed paroma dniami wybierałem się do Sochacze wa.

Skinąłem głową. Czułem tremę na myśl o tym spotkaniu. Dwadzieścia trzy lata nie widzieć człowieka, to można się mocno rozczarować. Mnie stuknęła w międzyczasie trzydziestka, on ma już więcej niż siedemdziesiąt. Co będzie, jeśli nie sklei się rozmowa i legnie między nami kłopotliwe milczenie?

1.

Ale było dobrze.

Szybko odżyły wspomnienia.

Zjedliśmy suty obiad, a potem, pijąc herbatę, paląc papierosy — wtargnąłem niepostrzeżenie w jego życie.

Nazywa się Feliks Bednarski.

Przyszedł na świat w końcu ubiegłego wieku jako trzynaste z kolei dziecko ubogich rodziców. Ojciec najpierw był rolnikiem, uprawiając skrawek jałowego pola, później jako robociarz tyrał w warszawskich i podwarszawskich fabrykach, bezskutecznie próbując związać koniec z końcem. Dzieciaki chodziły nie ubrane, głodne; on sam, Feliks, najmłodszy z rodu, skończył tylko trzy oddziały szkoły rosyjskiej w Łochowie i tam właśnie po raz pierwszy zagrała w nim świadomość.

Mówi:

— W drodze do szkoły przechodziłem codziennie obok majątku hrabiego Zamoyskiego, którego plenipotentem był niejaki Stefański. Plenipotent mieszkał we wspaniałym domu i miał syna w moim wieku, przy którym krzątały się bez przerwy różne niańki, guwernantki i lokaje. Nieraz widziałem przez ogrodzenie, jak ganiały za nim służące, żeby zechciał coś zjeść, a on grymasił, kręcił się za drzewami, kiedyś zdenerwowany namowami kopnął z całej siły w srebrną tacę i poleciały na zielone, równo przystrzyżone trawniki — jabłka, pomarańcze, plastry szynki — to wszystko, czego nie jadłem nawet w święta, czego smaku mogłem się najwyżej domyślać, więc zapiekła się we mnie żałość, a miałem w kieszeni suchy kawałek razowca, i pomyślałem, że na tym świecie brak sprawiedliwości.

Nie miał jeszcze czternastu lat, kiedy poszedł do ciężkiej pracy w tartaku.

— Dniówka — wspomina — trwała dziesięć godzin. Dawało to grosze. Więc zgodziłem się robić na akord, po szesnaście godzin na dobę. Z tych zarobków utrzymywałem matkę i młodszego brata, który był w naszej rodzinie czternastym dzieckiem. Ojciec już wtedy nie żył, a moje starsze rodzeństwo utrzymywało się z czego kto mógł — bracia z pracy w fabrykach i na roli, siostry ze służby u bogatych ludzi.

Całą pierwszą wojnę światową przepracował w tartaku, którym wówczas zarządzali Niemcy, a jak wojna się skończyła, rozbrajał niemieckich żołnierzy.

— Zaczął wówczas przyjeżdżać do nas z Warszawy mój brat, Władysław, starszy ode mnie o dziesięć lat. Był komunistą i nosił pseudonim „Zając". Przywoził zawsze z sobą różne ulotki, odezwy, socjalistyczną prasę. Pomagałem mu nieraz rozprowadzać to wśród ludzi, gdyż po kilku poważnych rozmowach zaraziłem się od niego komunizmem. Kiedyś rozlepialiśmy bibułę we wsi Łopianka i wpadliśmy na legionistów, którzy, mocno podpici, wracali z jakiejś zabawy. Zrewidowali brata na miejscu i zabrali do Wągrowa, gdzie odbył się nad nim sąd. Cztery lata przesiedział w więzieniu, ale swoich ideałów nigdy się nie wyparł. Starałem się przez całe życie brać z niego przykład.

Po tartaku chwytał się rozlicznych zajęć. Pracował na kolei, jako murarz, jako pomocnik kucharza w warszawskim szpitalu Świętego Ducha, wreszcie jako flisak — spławiając drzewo na Niemnie i Wiśle.

— Flis dał mi niezłą zaprawę. Byłem już wtedy delegatem robotniczym. Wiedziałem jak walczyć o nasze prawa. Właściciele drzewa z tygodnia na tydzień obniżali nam stawki, a przecież byliśmy robotnikami sezonowymi i to, co człowiek zarobił wiosną i latem, musiało mu starczyć na cały rok. Więc często strajkowaliśmy. Kiedyś w Toruniu ja i dwóch innych delegatów robotniczych zatrzymaliśmy spław i zażądaliśmy od właściciela wyrównania dla całej załogi. Właściciel wysłał ku nam swojego pełnomocnika. Pełnomocnik zabrał nas trzech do knajpy i zamiast rozmawiać o pieniądzach, postawił litr wódki. Czułem, że chce nas upić i wykiwać, więc po dwóch kieliszkach powiedziałem — stop! Postawiłem twarde warunki.

„W czyim imieniu mówicie?" — zapytał pełnomocnik.

„W imieniu wszystkich".

„To chodźmy do wszystkich" — powiedział. I kiedy znaleźliśmy się nad brzegiem Wisły, zapytał ludzi, czy zgadzają się płynąć na starych warunkach. Flisacy byli przez nas odpowiednio pouczeni i krzyknęli — nie! Ale znalazł się łamistrajk, opłacony sprytnie przez pełnomocnika, wrzasnął, że się zgadza. Pchnąłem go tak, że upadł na ziemię. Wtedy on złapał żelazną obręcz od beczki i uderzył mnie w głowę. Dużo krwi. I trafiłem na policję. Ale załoga była solidarna. Zjawiła się pod oknami posterunku w komplecie, paru kolegów wtargnęło do środka, żeby złożyć zeznania w mojej obronie i zostałem uwolniony. Pełnomocnik przeraził się tym wszystkim, przystał na nasze warunki i strajk został w pełni wygrany.

Feliks Bednarski kontynuował konspiracyjną działalność komunistyczną w czasie odbywania służby wojskowej w Jabłonnie. Żołnierze otrzymywali nieraz przepustkę, czyli tak zwany „urlop polski" i jeździli do Warszawy, żeby się trochę zabawić albo odwiedzić rodzinę. On wracał ze stolicy do jednostki obładowany

Woda jak kryształ

TERESA WOJCIECHOWSKA

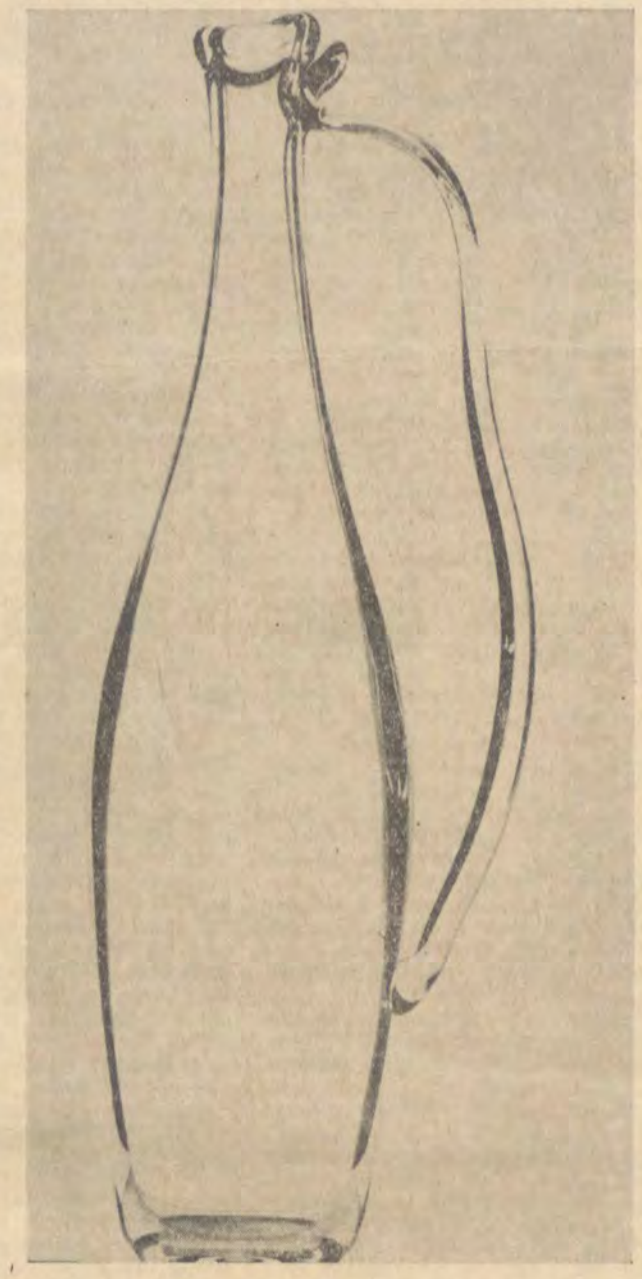

Ostatnim długotrwałym narzekaniom na coraz gorszy zapach i smak wody towarzyszyły optymistyczne doniesienia o zbliżających się ku końcowi pracach nad skonstruowaniem ozonizatora — najnowszej rewelacji w dziedzinie uzdatniania wody. Pozbawiona zapachu, smaku, oczyszczona z zarazków — jednym słowem — ozonizowana woda jak kryształ. I to wszystko w Łodzi i dla Łodzi. Oto na przykład notatka z warszawskiej gazety:

„Jako trzecie w świecie — po Francji i USA — powstało w Polsce, w Zakładzie Doświadczalnym Techniki Medycznej w Łodzi, urządzenie do ozonizowania wody. W innych krajach urządzenia takie produkuje się na zasadzie licencji. Dzięki więc wynalazkowi polskich konstruktorów, już wkrótce łodzianie będą pili ozonizowaną wodę, pozbawioną chloru, a zarazem lepiej zabezpieczoną przed bakteriami".

Kiedy więc pewnego dnia z naszych kranów popłynęła woda czystsza jakaś i pozbawiona stęchło-chlorowo-fenolowych zapachów, pomyślałam sobie: to już! Pijemy ozonizowaną wodę! Postanowiłam też podzielić się tą radosną wieścią z czytelnikami, którzy mogli tego faktu nie zauważyć.

Wracając jednak do wody, pobiegłam do samego źródła, to znaczy nie do Pilicy, tylko do Biura Projektów Budownictwa Komunalnego, które profesjonalnie zajmuje się sprawami oczyszczania i uzdatniania wody, a od sześciu lat, dzięki osobistej pasji kierownika laboratorium, mgr St. Polańskiego, także sprawą ozonizacji wody. I od razu dostałam się pod zimny prysznic, wcale nie ozonizowany. Zaczęło się od serii wyjaśnień, które miały mnie wyprowadzić z błędu. Po pierwsze, to żadna nowość, po drugie, dopiero w stadium prób laboratoryjnych, po trzecie... Po trzecie to i tak sprawa jest bardzo interesująca i warto sie czegoś o niej dowiedzieć. Ale to był już mój wniosek.

WYNALAZEK PONAD STULETNI

Metoda uzdatniania wody przy pomocy ozonu liczy sobie ponad 120 lat. Wynalazcą aparatury do ozonizowania wody był w 1857 roku pan, o skądinąd nam znanym nazwisku — von Siemens. Firma Siemens-Halske wyprodukowała pierwszy ozonizator, który został zastosowany w 1892 roku w berlińskim wodociągu prowadzącym wodę ze Sprewy. W tym czasie problem podjęła również Francja, a na początku naszego stulecia wiele innych krajów. Rozwój przemysłu w końcu XIX wieku pociągnął za sobą zanieczyszczenia ścieków, rzek, a co za tym idzie stworzył po raz pierwszy potrzebę radykalniejszego oczyszczania wody. Zastosowana w 1900 roku w Petersburgu metoda ozonizacji wody utrzymała się do dziś — w udoskonalonej i rozbudowanej formie — wodociągach leningradzkich.

Tak więc ozon był pierwszy. Ale energia elektryczna była wówczas bardzo droga, a ozon uzyskuje się przy pomocy elektryczności, więc i ozon był bardzo drogi. W dwudziestych latach naszego stulecia odkryto inne, tańsze metody uzdatniania wody. Był to okres poważnego rozwoju przemysłu chemicznego, w którego ubocznej produkcji uzyskiwano tani chlor. I wówczas właśnie chlor zastąpił ozon, stał się podstawowym produktem dezynfekcji wody.

Ale po drugiej wojnie światowej nastąpił dalszy, żywiołowy rozwój przemysłu chemicznego w świecie. Barwniki, surowce syntetyczne, detergenty itd. spowodowały dalsze, poważne zanieczyszczanie wód substancjami, którym chlor „nie dawał rady". W dodatku chlor stał się cennym surowcem do produkcji niektórych tworzyw syntetycznych. Jednocześnie staniała znacznie energia elektryczna. I oto zapomniany ozon znów powrócił do łask. Rozwój techniki wysokich napięć, rozwój i udoskonalenie innych gałęzi produkcji, na przykład szlarstwa umożliwiły produkcję nowych typów ozonizatorów o wysokiej wydajności, gwarantujących uzyskiwanie wody czystej, niemal sterylnej, pozbawionej smaku i zapachu, czego nie pozbawiał jej chlor. I tak, w latach pięćdziesiątych, powrócono do ozonizacji wody w ZSRR, USA, Anglii, Francji, NRF, krajach skandynawskich itd.

ZGODNIE Z PRAWAMI NATURY

A co to jest właściwie ozon? Przeciętny człowiek wie, że jest to dobra rzecz, bo jak po burzy powietrze jest świeże i rześkie, to się mówi, że jest w nim dużo ozonu. Chemik powie nam, że ozon to trójatomowa cząsteczka tlenu, która przy zetknięciu z wieloma związkami chemicznymi, między innymi wodą, rozkłada się na tlen in statu nascendi i cząsteczkę tlenu zwykłego. Niewiele, nam to wyjaśni, więc chemik doda, że ozon jest sam silnym utleniaczem i posiada katalityczne własności utleniania. Dzięki temu rozkłada wiele znajdujących się w wodzie związków organicznych, zabija bakterie, wirusy i inne substancje organiczne. Że ma silniejsze właściwości sterylizacyjne niż chlor, a nie pozostawia żadnego zapachu ani smaku.

Ozon występuje więc w przyrodzie, ozonizacja wody odbywa się nieustannie naturalną metodą oddziaływania słońcą i powietrza. Tlen jest czynnikiem, który w warunkach naturalnych sprzyja samoczynnemu oczyszczaniu się wody. Dlatego nasza woda w kranach jest gorsza zimą niż latem. Zimą, rzeki przykryte są lodem, nie dochodzi do nich powietrze. Latem znajdują się pod działaniem tlenu zawartego w powietrzu. Ale działalność ludzka przełamała naturalną barierę ochronną, stwarzaną przez przyrodę. Dlatego na zwiększoną ilość zanieczyszczeń trzeba działać zwiększoną ilością tlenu — poprzez ozon.

KROPLA WODY

Już nasi dziadkowie straszyli nas kroplą wody oglądaną pod mikroskopem. Ile w niej bakterii, wirusów i różnych innych paskudztw. Nie zamierzam pisać tu dreszczowca, ale gdyby ci przodkowie obejrzeli dziś kroplę wody pod mikroskopem zapewne nie uwierzyliby, że to woda. Problem jest zresztą ogólnoświatowy, z wszystkich fabryk świata płyną do ścieków, a nimi do rzek najwymyślniejsze związki chemiczne. W pewnym okresie na Renie detergentowa piana sięgała wysokości ośmiu metrów. W najbardziej rozwiniętych przemysłowo krajach zabroniono produkcji niektórych najniebezpieczniejszych (a więc najskuteczniejszych) detergentów. System oczyszczania wody, która płynie do naszych mieszkań, jest coraz bardziej precyzyjny. Jest to proces kilkufazowy, obejmujący fazę wstępną, dalej koagulację czyli oczyszczanie wody metodą fizyko-chemiczną. Potem jest filtracja i dezynfekcja. Ozonizacja odbywać się może albo razem z koagulacją, albo po procesie filtracji.

Oczywiście, byłoby sprawą najprostszą oczyszczać to co wypływa z fabryk do ścieków. Projektowane obecnie zakłady przemysłowe mają już własne oczyszczalnie. Łódzkie Biuro Projektów Budownictwa Komunalnego opracowuje obecnie projekt oczyszczalni ścieków rejonu łódzkiego i przemysłowego. Będzie to grupowa oczyszczalnia dla m. Łodzi i tzw. miast satelickich, wychwytująca ścieki przed ich wypuszczeniem do rzek. Własny klarownik (urządzenie ozonizujące) będzie posiadał zbiornik sulejowski.

JEST CZY GO NIE MA?

Więc w końcu mamy ten aparat do ozonizacji wody czy go nie mamy? Właśnie, to przecież miał być temat niniejszego artykułu. 12 lat temu warszawscy konstruktorzy rozpoczęli pracę nad ozonizatorem polskiej produkcji. Sześć lat temu podobną pracę podjął chemik, kierownik laboratorium BPUK w Łodzi mgr Stanisław Polański. Był nie tylko chemikiem, ale elektrykiem i mechanikiem — jeśli zaszła potrzeba. W swoim niewielkim laboratorium rozpoczął próby uzyskania ozonu. Przy okazji zgłosił do Urzędu Patentowego około 40 wynalazków, głównie dotyczących nowych procesów uzdatniania wody. W kilka lat później powstał zespół konstruktorów w osobach: inż. W. Kunicki, mgr St. Polański i inż. A. Kołodziejczak, którzy w Zakładzie Doświadczalnym Techniki Medycznej przystąpili do budowy prototypu ozonizatora wody na skalę techniczną. Dokumentacja tego prototypu została niedawno zakończona, budowa będzie rozpoczęta w tym roku. Będzie to na razie ozonizator wytwarzający pół kilograma ozonu na godzinę (dla przykładu: w zimowych warunkach dla Łodzi potrzeba ozonizatora produkującego 16 kg. ozonu, a latem — 6 do 7 kg.). Konstruktorzy są oszczędni w słowach i obietnicach, nie chcą mówić o dalszych planach i zamierzeniach, ale jest chyba rzeczą niewątpliwą, że pierwszy krok został już zrobiony, że ozonizator na skalę techniczną, który ma być ukończony w bieżącym roku, będzie służył Łodzi, a także że będzie pierwszym, a po nim przyjdą następne, większe. I mamy prawo być dumni, że właśnie w naszym mieście jako pierwszym w kraju rozwija się myśl techniczna służąca poprawie warunków zdrowotnych jego mieszkańców.

* * *

No dobrze, może ktoś zapyta, ale dlaczego woda jest już dziś lepsza, choć ozonizator działa tylko w laboratorium? Bo póki co zastosowano do oczyszczania bardzo skuteczny, choć bardzo drogi, węgiel aktywowany, a trochę także dlatego, że na rzekach rozpuściły się lody i zaczął działać naturalny ozonizator — słońce i powietrze.

---

bibułą, którą rozpowszechniał wśród kolegów. Wpadł w oko żandarmerii. Pewnego razu został zatrzymany na stacji.

„Przecież papiery mam w porządku" — powiedział do żandarma.

„Pójdziesz ze mną" — powiedział żandarm.

„Nie! W przedziale czeka na mnie porucznik".

„To chodź. Poszukamy tego porucznika".

Przeszli przez cały skład.

„No i gdzie ten porucznik?" — zapytał żandarm.

„Może gdzieś wyszedł na chwilę" — grał na zwłokę Bednarski. — „Może po prostu jest w ubikacji".

„Dobra. Powiesz tę bajeczkę na posterunku".

I wiódł go pod bronią do jednostki. Kiedy przechodzili obok lasu, Bednarski pchnął do rowu swojego anioła stróża i biegł do pierwszych drzew, padając przepisowo co parę kroków, gdyż tamten strzelał. W lesie, nie przerywając biegu, darł bibułę.

— To mnie uratowało — wspomina. — Zatarłem za sobą wszelkie ślady i po powrocie do niczego się nie przyznałem. Ale narażałem się bardzo często. W czasie wojny, kiedy przebywali u nas jeńcy radzieccy, podrzucałem im papierosy i jedzenie. Przyrzekłem sobie, że zrobię wszystko, aby nie trafić na front i nie walczyć przeciwko bolszewikom. Kiedy już nieuchronnie zbliżała się moja kolejka, przekłułem sobie od wewnątrz policzki igłą, zacisnąłem rękami usta i nos, i parłem powietrze — tak, że na twarzy wystąpiła silna opuchlizna. Lekarz nie potrafił rozpoznać tej „choroby". Podejrzewał, że rosną mi zęby mądrości, albo że mam jakąś nietypową świnkę. W każdym razie na front nie poszedłem...

Po wojsku, podejrzany o komunizm, nie mógł znaleźć pracy w Warszawie. W 1922 roku ściągnął na rodzinną ziemię sochaczewską i tu został zatrudniony w gorzelni na Boryszewie. Wraz z kilkoma towarzyszami utworzył na terenie gorzelni Związek Zawodowy, który był pod wpływem PPS. Komórka PPS liczyła pięciu członków, natomiast w gorzelni pracowało ponad sześćdziesiąt ludzi — z których wielu zupełnie nie rozumiało interesów swojej klasy i do Związku zapisywali się niechętnie.

— Uciekaliśmy się do różnych metod, żeby ich przekonać. Czasami była to łagodna perswazja, czasami agitowało się na siłę... Sporo kłopotów mieliśmy z palaczem kotłowym, który nie tylko klął nas przy każdej okazji, ale buntował także przeciwko Związkowi innych robotników, dezintegrując załogę. W tej sytuacji trudno było zorganizować strajk. Więc kiedyś zaczailiśmy się na tego palacza i wrzuciliśmy go do rzeki, gdy łowił ryby. Tak długo trzymaliśmy go w wodzie, aż zgodził się wreszcie wstąpić do Związku. Był później dobrym towarzyszem roboczej niedoli i w niemałym stopniu przyczynił się do tego, że wygraliśmy kilka strajków. A było o co walczyć. Zmusiliśmy kierownictwo gorzelni, aby płaciło nam normalnie, po sto procent, za niedziele i święta. Wytargowaliśmy jeden dzień w tygodniu wolny od pracy, żądając, aby zapłacono nam także odszkodowanie za rok wstecz. Dużym sukcesem było wywalczenie dodatku „drożyźnianego" — trzeba pamiętać, że ceny wówczas z każdym tygodniem szły w górę i wielu robotników (chociaż nominalnie byli milionerami) chodziło spać o pustym żołądku. Akcje nasze znalazły uznanie ludzi spoza gorzelni. Pamiętam, że w dwudziestym szóstym roku poznałem Szymona Pietrzaka, który zasłynął w czasie hitlerowskiej okupacji jako ojciec partyzantów. Miał bardzo bojowych synów, z których jeden, Tadeusz, jest obecnie wiceministrem Spraw Wewnętrznych, drugi natomiast, Edward, pełni funkcję pierwszego sekretarza partii w FSO na Żeraniu — organizacji, do której należy Władysław Gomułka. W dwudziestym szóstym, kiedy w gorzelni odbywał się strajk, Szymon Pietrzak wychodził na drogę przed swoim gospodarstwem i zatrzymywał robotników, śpieszących do pracy w gorzelni. „Co — mówił — chcecie złamać strajk! Jazda do domu!". Uczestniczył także w corocznych demonstracjach pierwszomajowych. Odbywały się one niezwykle uroczyście. Już z samego rana ścigali do nas, na teren gorzelni, robotnicy z pobliskich zakładów ceramicznych. Dużo sztandarów, transparentów, czerwieni... Wznosiliśmy to ponad głowami i szliśmy, śpiewając rewolucyjne pieśni, na rynek w Sochaczewie, gdzie odbywał się wiec ludzi pracy. Niejednokrotnie próbowano przeszkodzić nam w tych pochodach. Dochodziło do zamieszek i zatargów z policją.

Po dojściu Piłsudskiego do władzy, kiedy to zamiast poprawy warunków bytowych, posypały się nieszczęścia — rosła drożyzna, sklepy odmawiały robotnikom kredytu, fabryki zalegały z wypłatami — w boryszewskiej gorzelni wybuchł jeszcze jeden strajk. Tym razem został brutalnie stłumiony. Przyjechały trzy plutony wojska, które obsadziło teren fabryki, grożąc demonstrantom karabinami. Wymówiono pracę całej załodze. Kto chciał wrócić do roboty, musiał podpisać umowę na nowych, dogodnych dla właściciela warunkach. Bednarski znalazł się wówczas na bruku.

— Pojechałem do Warszawy i długo nie mogłem znaleźć pracy. Zacząłem się wreszcie w zakładach Philipsa — holenderskiej firmie produkującej żarówki i części do radioodbiorników. Przepracowałem tam aż do powstania warszawskiego. W czasie okupacji, wraz z Władysławem Kolbusem, Tadeuszem Bartoszewiczem i Stefanem Witkowskim, utworzyłem na terenie fabryki komórkę PPR. W moim gabinecie odbywały się zebrania, przysięgi, rozdział bibuły... Moja siostra na rozkaz partii znalazła w Warszawie pomieszczenie dla tajnej drukarni, gdzie wydawało się „Gwardzistę" oraz inne pisma i odezwy. Drukarnia ta przetrwała aż do wyzwolenia.

2.

A jak to było po wojnie?

Od pierwszych dni wolności Bednarski walczył o nową Polskę. Znowu był w Boryszewie, na terenie gorzelni, którą — z upoważnienia komendanta wojennego Sochaczewa, majora Gordijenki — zabezpieczał przed szabrownikami i reakcją. Wspomina:

— To były trudne, ale piękne chwile. Ludzie pracowali z pasją i nikt nie pytał o wynagrodzenie. I nikt nie załamywał rąk, patrząc na zdewastowany, poorany okopami, ogrodzony drutami kolczastymi zakład. Bronek Sypczak, elektryk, doprowadził do porządku sieć elektryczną. Gienek Żelaźnicki uporządkował warsztaty mechaniczne. Już po kilku tygodniach gorzelnia pracowała pełną parą, produkując spirytus, cement dentystyczny, eter do narkozy i płyn do chłodnic samochodowych.

Tych chwil sięga właśnie moja pamięć. Potem wyjechałem z Sochaczewa. Nie widziałem Bednarskiego dwadzieścia trzy lata. Prawie ćwierć wieku. Pełnił w tym czasie wiele odpowiedzialnych funkcji. Organizował Referendum, był członkiem Rady Powiatowej, Przewodniczącym Powiatowej Komisji Oświatowej, wiceprzewodniczącym Rady Nadzorczej PPS, ławnikiem w sądzie apelacyjnym w Warszawie i pierwszym sekretarzem partii w Boryszewie...

Teraz ma siedemdziesiąt jeden lat i jest emerytem. Ale to wcale nie znaczy, że żyje w bezczynności. Stary, przygarbiony, posiwiały człowiek o niebieskich, dobrych oczach, w których kryje się zagadka jego życia — pisze pełne pasji wiersze przeciwko wojnie i pełne pasji hasła w obronie przyrody. Nie przestał walczyć o nowy świat. Nie przestał być wielkim romantykiem.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

ANTONI KASPROWICZ

RODZINA Agaciaków

Z tymi Agaciakami to zawsze mieliśmy zmartwienia i kłopoty. Jakaś niewydarzona, pechowa rodzina. W dzielnicy plebejuszów posesja nasza była duża, bo składała się z dwóch dwupiętrowych oficyn, a każda po dwunastu lokatorów i frontowego drewniaka z wysokimi poddaszami i jedenastoma izdebkami.

Podwórze obszerne z pompą drewnianą i ubikacjami, komórkami, zlewem i śmietnikiem na uboczu, wybielonym wapnem, jednym słowem zazdrość całej dzielnicy. Wracajmy jednak do Agaciaków.

Mieszkali właśnie w drewniaku, w maleńkiej izdebce o jednym oknie, które w dodatku przesłaniała kamienica z przyległej posesji, należącej do piekarza Grossmana.

W izdebce tej o każdej porze roku panował półmrok, a jesienią i zimą to już od południa trzeba było oświetlać izdebkę lampką naftową. Przy tym plaga pluskiew, a zwłaszcza karaluchów prześladowała okropnie Agaciaków. Zalęgły się w starej kuchence kaflowej i urządzały nocami huczne koncerty, chrząszczowe. Nie pomogła nawet miska z wodą ustawiana na noc obok kaflowej kuchenki.

Ale co tam karaluchy. Gorszy pech prześladował Agaciaków: wiosną urodziło się im dziecko ułomne i skrofuliczne. Latem zbiedzonej Agaciakowej zaczęły sinieć i nabrzmiewać nogi, tak, że ledwie ledwie mogła się wdrapać na schody, nie mówiąc już o wylewaniu pomyj i przyniesieniu wody ze studni.

W kilka tygodni później skradziono Agaciakowi z komórki cztery odpasione króliki, które hodował na rosół dla chorej rodziny. A trzeba wiedzieć, że jak Agaciak kupił na przykład na Bałuckim Rynku używaną kapotę, to z góry wiadomo, że była za długa. A jak się w sobotę ogolił brzytwą wyostrzoną na pasku od spodni — to zawsze wychodził pokancerowany z bibułkami naklejonymi na zacięciach. Jednym słowem — pechowa rodzina.

Był właśnie chłodny listopadowy późny ranek, kiedy Agaciak poderwał się z łóżka, w którym z powodu chłodu i braku opału wypoczywał razem z żoną i dzieckiem, by na energiczne pukanie otworzyć drzwi z haczyka.

— Tu mieszka pan Teofil Agaciak? — zapytał opasły jegomość z teczką, a za nim wtoczyło się do izdebki dwóch dryblasów.

— To właśnie ja. A szanowny pan zapewne z Opieki Społecznej, bośmy składali podanie — ucieszył się Agaciak, spoglądając na uśmiechniętą w łóżku połowicę.

— Niestety, niestety! Jestem tylko komornikiem i przyniosłem od prokuratora nakaz eksmitowania państwa z zajmowanego lokalu.

— Co, co? — zdumiał się pobladły Agaciak, naciągając niezręcznie nogawice spodni.

— Słyszysz Mirosławo?

Skinęła tylko głową i rozbeczała się głośno na łóżku, a razem z nią wystraszone dziecko.

— Przecież gospodarz — właściciel tej posesji — podjął komornik — upominał pana kilkakrotnie panie Agaciak, że zaległy czynsz komorniany jak podano w protokóle wynosi już okrągłe pięć dziesiąt złotych, groszy szesnaście. Zgadza się, panie Agaciak? — zapytał, rozglądając się po izdebce.

— Zgadza się, zgadza, panie komorniku, ale niech pan zrozumie, panie komorniku. Najpierw był strajk, panie komorniku, a później buda czynna była tylko trzy dni w tygodniu, panie komorniku. A później rozsypała się żona — a ja od kilku już miesięcy na lichej zapomodze, panie komorniku. Więc może by jednak pan, drogi i łaskawy panie komorniku zaniechał choćby na miesiąc tej eksmisji, a ja się jakoś postaram, by tę zaległość częściowo... — prosił Agaciak ze łzami w oczach, składając dłonie jak do modlitwy.

— Skąd się pan postara? Jak u pana nędza i ubóstwo? A porządek porządkiem musi być i sprawiedliwość sprawiedliwością musi być, uważasz pan, panie Agaciak — pererował komornik, po czym do dryblasów:

— No, dalej chłopcy, śmiało do dzieła! Wynieść mi zaraz te graty na podwórze! — zakomenderował, nie zwracając uwagi na błagalne prośby i płacz całej rodziny.

Nie wzruszyły mu serca jęki Agaciakowej, całującej mu ręce i obłapiającej go za kolana.

Nawet na rozpaczliwy krzyk dziecka kiedy wygrzebywano je z betów, nie zwrócił żadnej uwagi... Najpierw wynieśli stół i dwa krzesła. Później, wśród rozpaczliwych krzyków Agaciakowej drewniane łóżko z wątłą pierzynką i poduszkami, następnie starą komodę, wodniarkę, dwa święte obrazy i zegar wahadłowy na łańcuszkowe odważniki i to wszystko, bo szafy Agaciakowie nie posiadali, a jakie takie ciuchy wieszali po prostu na ścianie nakrytej białym prześcieradłem.

Kiedy już wszystkie graty wraz z betami zostały zniesione, komornik zamknął na klucz puste mieszkanie, zlazł ze schodów wraz z dwoma dryblasami, a wychodząc z podwórza na ulicę, spojrzał w stronę zakotwiczonych Agaciaków i skinął ręką, na co Agaciak splunął i zaklął okropnie.

Nadeszło południe i buczące syreny oznajmiły drugą zmianę.

Teraz wracali z fabryk ci, którzy od piątej rano stanęli przy warsztatach, a udawali się do fabryk na zmianę robotnicy, którzy dopiero po dziewiątej wieczorem powrócą do domów.

Tysiące tkaczy przewalało się ulicami, które szumiały, grzmiały i burzyły się jak wezbrane rzeki. Tupot tysięcy nóg, pomruk ludzkich głosów wstrząsał powietrzem, rodząc poczucie jakiejś wielkiej wspólnoty i siły nieujarzmionej, zwycięskiej. Nieraz śnieg, nieraz deszcz, lub wichura chłostała te powracające, umęczone pracą tłumy webrów, szpinerów i farbiarzy pożółkłych od trujących chemikaliów.

Czasem tylko w pogodne wieczory, księżyc olbrzymi jak balia unosił się nad brukowanymi ulicami, oświetlając je idącym miedzianymi płatkami...

Pierwszym, który powracając z rannej zmiany wszedł na podwórko, był szpiner Barański, za nim wleciał młody Paradoszczak i wtoczyła się gęgająca Pietruszka, a za Pietruszką reszta powracających z fabryk robotników, zamieszkałych w naszej posesji. Powracali znużeni, ale nikt nie udał się wprost do mieszkania, bo wszyscy otoczyli na podwórku graty eksmitowanych Agaciaków.

— Co u cholery! — zawołał Barański, zwracając się do sąsiadów, otaczających Agaciaków. — Taką bidę, taką nędzę na dwór, na zimno, na poniewierkę i głód? I to w dodatku z chorą babą i szczeniakiem? Sąsiady, nie dozwolim, by Agaciakowie marzli, nam na podwórku. Słyszycie? Nie dozwolim! A co by na to ludzie z Rawskiej, z Gołębia, z Częstochowskiej? Słyszycie? Co by na to cała dzielnica? Słyszycie?

— Ja zabieram Agaciakową z dzieciakiem na obiad. — powiedziała ujmując się pod boki piegowata Pękala.

— A ja — wykrzyknął Jabłoński — Agaciaka na kielicha i robociarski kawior!

— Ludzie, aż serce rośnie! — zawołał uradowany Barański. — Aż serce rośnie. A oto patrzcie, moja czapka, a w niej dwa złote, które odłożyłem na gilzy i machorkę. Masz je Płuciennik, trzymaj i wal od dołu na piętra po wszystkich lokatorach. Na Agaciaków — kapujesz? Najmniej — pięćdziesiąt groszy, kapujesz? Mniej — za nic, za Boga! No, szuraj, a ty Zamulski — siedziałeś w więzieniu, to podskocz i otwórz wytrychem drzwi Agaciaków, a my z resztą chłopa wniesiemy z powrotem te graty do chaty. Więc jazda, jazda do roboty!

No i uczynił się rum nie z tej ziemi. Jedni z gratami na górę, drudzy po graty i bety z powrotem i tak w kółko. Gdy jedni wnosili, drudzy stukali, zestawiali rozebrane łóżko, ustawiali komodę i wodniarkę, stół, zawieszali święte obrazy i zegar na łańcuszkowe odważniki.

A kiedy po godzinie sprowadzono z powrotem na własne śmieci uradowanych Agaciaków, uciechy i śmiechów było co nie miara.

Bo to niby taki ważny posesjonista — gospodarz i taki ważny urzędowy komornik, a tu proszę — paru chłopa i Agaciaki znów w swej stancji.

Niezadługo nadleciał zdyszany Płuciennik i wysypał na stół brzęczące monety, które Barański przeliczył i ułożył w pięć stosików i powiedział:

— Naliczyłem tu złotych dwadzieścia siedem i groszy pięćdziesiąt. Za te siedem złotych i groszy pięćdziesiąt kupisz sobie Agaciak żarcia i ćwiartulę, a resztę, to jest złotych polskich równe dwadzieścia, zaniesiesz gospodarzowi jako zaliczkę na komorne, oczywiście za pokwitowaniem. A jak zaniesiesz mu tę zaliczkę za pokwitowaniem, to pamiętaj, mój Agaciak, powiedzieć mu to, co teraz słyszysz. Panie Grossman, jak się wszyscy robotnicy zespolą, jak my dzisiaj na podwórku, to nie tylko właściciele kamienic i urzędowe komornicy, ale nawet cała konna policja i rząd nam nie poradzi. Kapujesz?

(Z tomu pt. „Dzielnice Plebejuszów", który ukaże się nakładem Wyd. Łódzkiego).

WIERSZE POETÓW ZIELONOGÓRSKICH

IRENA DOWGIELEWICZ

Stwierdzenie

Wystarczy, że jesteś. W fotelu przy radio.
Proszę słuchaj najnudniejszych przemówień
i najbardziej drażniących komentarzy.
Może być nawet jazz,
może być tylko bełkot zmienianej fali,
Jeżeli zobaczę twoją rękę na gałce aparatu,
wszystko będzie śpiewem Anny German.

Ale, dobry Boże,
czy zawsze musisz mnie spychać na samą krawędź,
żebym się mogła stać mniej głupia.

ANDRZEJ K. WAŚKIEWICZ

★
★ ★

I

wnęka widoku — tyle nam zostało
morze rzeczywistości aż po brzegi pełne
rozsypuje się w białą chorobę
tyle jeszcze
niedopełnień w widoku gdy źródło wywołane ręką
otwiera nową ciemność stary płacz

w wewnętrznych wnękach po najstarsze morze
przechylona w pamięć — myśl o płaczu pierwszym

II

właściwy wymiar rzeczy — ciemne z zapatrzenia
przed pomyśleniem jeszcze
tak idąc krawędzią
dopiero z niewidoku ich możliwość — boli

pomysł kwiatu — jakby ten realny błękit
nie był pokrewny ziemi już przez to że krwawi.

BOLESŁAW SOLIŃSKI

★
★ ★

Byłem tu tak niedawno
że wczoraj jest bliższe od horyzontu
co przypięty brzozą nie ucieka
wystarczy ręka słupek kwiatu
a sięgam i mówię słowa
inaczej niż wtedy gdy
nie było owoców
tylko oczy otwarte jeszcze szerzej
Pamięć połączona tak niedawno
chciałbym ją rozdzielić
na czynniki pierwsze
jak substancję chemiczną
a potem łączyć
w nowe nie nazwane jeszcze związki
wydobywać stopniowo
sycąc się dumą odkrywcy
chociaż nic nowego nie odkrywam
szukać zaspokojonych poszukiwań
poznanych już lądów
żyć przy tym poznanym od nowa
wiele razy odnajdywać to samo na użytek własny
znane na pamięć wyrywki dzielić i mnożyć
nowe związki— krajobrazy o innych wzorach
wreszcie wykryć pierwiastek
nie zapisany jeszcze na twojej tablicy.

ANNA TOKARSKA

Rzeźba w drzewie

Onieśmielona staję
w progu drewnianego święta

podróż przede mną się ściele
droga w głąb wiedzie
a las bólu pełen

Na skraju stanę
już tutaj są ślady
siekier mocniejszych
o ramiona drwali

Wytrzebili zieleń
Płacz po niej koliście
znieruchomiał w słojach
umarłego drzewa
nie ma tu miejsca
dla jaszczurek moich
które wschodzą płowo
wśród południa skwaru

Tutaj niczego
ponad płacz nie zmieszczę
a jednak
podróż przede mną się ściele
i stukot siekier wplata
w niespokojny sen

ZENON CZARNECKI

Lot w przestrzeń

Tu bieg Ziemi wykreśla zamknięty horyzont
w tych wykresach jest nawet sens nieodwracalny
dla nas gest naznaczony
zamknięty w elipsie
trzeba wzlecieć w rzecz niedowiedzioną
wyzwolić inną przestrzeń
otwartą szeroko
wyważyć śmiałą myślą z ciasnych brył trójkątów.

GUSTAW ROMANOWSKI

Jasper Johns

POP ART jest zjawiskiem typowo amerykańskim, ale prawa powołujące do życia ten kierunek sztuki mają we współczesnej filozofii artystycznej znaczenie uniwersalne. Jest bowiem pop art w swym założeniu swoistą drwiną ze sztuki jako majestatu artystycznego. A zatem już u samego podłoża tego kierunku leży przewartościowanie mistycznej funkcji sztuki jako rzeczywistości nadzwyczajnej i upozorowanej. Wychodząc więc z punktu początkowego, to znaczy z nobilitacji zwyczajności, codzienności, banału — pop art poprzez drwinę i dwuznaczność uniknął naiwnej apoteozy tej tematyki. Jednocześnie nie negując żadnej stylistyki, żadnego kierunku, pop art tolerancyjny wobec każdej sztuki znalazł już swoje miejsce w historii jako kierunek antydoktrynalny i przeciwny dogmatom artystycznym. Oczyszczając wyobraźnię zmęczonego człowieka ze zbędnych przyzwyczajeń i balastów kulturowych, jest on raczej nie tyle kierunkiem historycznym, co dialektyczną metodą pojmowania sztuki.

Uwagi te odnoszą się i do wystawiającego po raz pierwszy w Polsce Jaspera Johnsa *).

Johns obok Lichtensteina, Rosenquista i Oldenburga — jeden z najwybitniejszych twórców amerykańskiego pop artu, należy już dziś do klasyków tego kierunku. Malarz i rzeźbiarz (choć określenia tą są już przestarzałe dla opisania aktu twórczego i samego dzieła popartowskiego), od 1960 roku wypowiada się również w grafice, zwłaszcza w litografii.

Johnsa w jego penetracji artystycznej interesuje tematyka uboga: flaga, mapa, tarcza strzelnicza, zestaw liczb od 0 do 9 i kilka jeszcze innych najzwyklejszych przedmiotów jak np. puszki z piwem czy wieszak.

„Cyfry" są zręczną drwiną z uniwersalistycznej i wszechogarniającej współczesnego człowieka magii liczb. W tych szablonowo zaprojektowanych kompozycjach, których górną część zajmuje dwurzędowy zestaw cyfr od 0 do 9, właściwa dramaturgia rozgrywa się w dolnej części plansz. Tę część zajmują po kolei każda z owych dziesięciu cyfr w wymiarach zwielokrotnionych, heraldycznych. Liczba — codzienny towarzysz człowieka dostąpiła sama majestatu dzieła sztuki. Cyfry — fetysze grają nową — oderwaną od swego tradycyjnego znaczenia — rolę.

„Przylądek Hatleras"

„Flagi" — z których została pokazana w Łodzi tylko jedna litografia — mają jako motyw sztandar amerykański. Jest to motyw niezwykle rozpowszechniony wśród twórców amerykańskiego pop artu — że wspomnę tu prace Wesley'a, Oldenburga, Hendricka, Copley'a — i dość ograny. Dla tego jedna tylko z tej serii praca Johnsa nie przynosi spodziewanej satysfakcji. Podobnie przedstawia się sprawa pacyfistycznego cyklu „Tarcze". I tu jedna tylko wyrwana z cyklu plansza pozostawia na widzu wrażenie pustki i nijakości, traci swoją wymowę ideową — nie funkcjonuje.

Stąd też siłą rzeczy środek ciężkości przesuwa się na wystawie ku litografiom nie wiązanym w cykle, a to dzięki zawartym w nich propozycjom formalnym tak charakterystycznym dla sztuki pop artu.

Johns idzie tu w dwu kierunkach: albo „gloryfikuje" przedmiot („Wieszak", „Miarka"), albo poszukuje możliwości pokazania człowieka w bezpośrednim, najbliższym wymiarze. („Skóra z poematem O'Hary", „Przejście", „Skrzydło"). „Gloryfikowanie" przedmiotu — to oczywiście odbieranie mu wszelkiej symboliki, patosu; przedmiot ma znaczyć tylko tyle, ile przydaje mu znaczenia codzienna użyteczność. Inaczej, kiedy Johns „zapisuje" człowieka, utrwala jego dotyk. To nie jest już beznamiętny wizerunek przedmiotu, traktowany jako swego rodzaju cytat z natury. Tu plansza papieru uzyskuje wymiar czuły i delikatny — wymiar ludzki.

Podobieństwo do eksperymentów prowadzonych kiedyś przez Yves Kleina — który „malował" np. za pomocą unurzanych w farbie ciał kobiet — jest tu tylko powierzchowne. Johns zestawia odcisk twarzy czy ręki z odbitką tekstów, z drukiem, z bezładną kakofonią form graficznych. Jeśli zaopatruje poszczególne fragmenty planszy w komentarze co do kolorystyki — „czerwony", „niebieski", „żółty" — to tylko dla podkreślenia umowności i pozoru systemu postrzegania. Bo — chce udowodnić Johns — kolor zależy nie od przyzwyczajenia naszego oka, ale od każdorazowej umowy, której prawodawcą jest człowiek.

Zatem odbity bezpośrednio ślad ludzkiego ciała, zapis uczyniony ręką człowieka i treść tego zapisu, spełniają w tej sztuce jedną uniwersalną rolę. Są jakby reflektorem oświetlającym pojedynczego człowieka, wydobywającym go z szarzyzny i uniformizmu. Nieważne przecież że ów człowiek nie zawsze rozumie konwencję, którą sam wokół siebie zbudował; ważne, że w obcowaniu ze sztuką Johnsa zacznie się sobie dziwić.

„Przejście"

*) Jasper Johns — litografie. Muzeum Sztuki w Łodzi — marzec — kwiecień 1970 r. Wystawa zorganizowana przez Museum of Modern Art, New York pod auspicjami International Council of the Museum.

Półka z książkami

400 STRON PROZY SŁOWACKIEJ

Pogrzeb piekarza, kłopoty małego chłopca ze zbyt często zmienianymi wielbicielami siostry, miłosna przygoda młodego mężczyzny, spędzającego urlop w rodzinnym mieście, dramat obłąkanej matki na darmo oczekującej powrotu syna z wojny, samobójstwo młodego ślepca, obrazki z lat wojny — to tematy tylko niektórych opowiadań słowackich ze zbioru pt. „Królewskie wolne miasto". Trochę szkoda, że wydaną przez Instytut Wydawniczy PAX antologię zdecydowano się opatrzyć i mało interesującym tytułem jednego z opowiadań i jeszcze mniej udaną okładką. Taka szata zewnętrzna nie zachęci mniej wyrobionego czytelnika do sięgnięcia po książkę, a szkoda, bo jest ona w równej mierze pożyteczna co i ciekawa. Pożyteczna, bo wypełnia nieco lukę w nie najlepszej znajomości literatury słowackiej w Polsce i w pewnym stopniu spełnia rolę „przewodnika po zjawiskach prozy słowackiej", jaką nadał jej Andrzej Piotrowski — autor wstępu i opracowania. „Królewskie wolne miasto" przedstawia aż pięć pokoleń prozaików słowackich — od końca pierwszej wojny światowej aż po czasy dzisiejsze. Pokolenie najstarsze i jednocześnie prozę najbardziej tradycyjną reprezentują w w antologii: Józef Cíger-Hronsky, Ivan Horvath, Milo Urban i Peter Jilemnicki. Przedstawicielami tak zwanej „prozy liryzowanej" z lat trzydziestych i czterdziestych są: Margita Figuli, Dobroslav Chrobak i Frantisek Svanter. O przeżyciach narodu z okresu państwa słowackiego" i czasów wojny piszą przedstawiciele średniego pokolenia pisarzy, między innymi Dominik Tatarka i Alfonz Bednar. Wybór zamykają opowiadania pisarzy najmłodszych — Sikuli i Slobody. Takie zestawienie autorów pozwala polskiemu czytelnikowi prześledzić przeobrażenia słowackiej prozy zarówno pod względem formy jak i treści.

B. M.

„Królewskie wolne miasto" — Instytut Wydawniczy PAX. Warszawa 1969, str. 410, cena zł. 35.

peczasilea dwo-jo

SEURAT CZYLI PUENTYLIZM

Peuntylizm to neoimpresjonistyczna technika malowania drobnymi plamkami farby, a Jerzy Seurat to twórca owego kierunku, przeciwstawnego do impresjonizmu. Monografia tego artysty, wydana przez PIW w ostatnich tygodniach, jest ostatnią pracą Henri Perruchota, zmarłego przed trzema laty francuskiego historyka sztuki. Podobnie jak w swoich poprzednich pracach o Cezannie, Manecie, Van Goghu i innych — Perruchot przedstawia artystę na szeroko rozbudowanym tle epoki, zapoznaje nas z metodą pracy, z jego życiem.

Jedną z ciekawszych partii książki, jeśli chodzi właśnie o epokę, jest ukazanie błyskotliwej kariery generała Boulangera. Książka jest jednak o Seuracie — mamy więc w niej historię powstawania jego znanych dzieł, mamy przejmującą opowieść o tym, jak w ciągu paru dni krótkiej, lecz śmiertelnej choroby malarz „oczyma umysłu" oglądał wciąż swój ostatni, nie dokończony obraz „Cyrk"...

Jerzy Seurat był jedną z bardziej fascynujących postaci francuskiego malarstwa. Zmarł mając 31 lat — pozostawiając dzieła najwyższej artystycznej rangi. Jego dzieło przesłoniło artystę. Nic właściwie o nim nie wiadomo — pozostała tylko jego twórczość. „Przez długi czas wątpiłem — pisze Perruchot — czy kiedykolwiek zdołam przeniknąć mgłę tajemnicy, otaczającą tego równie sławnego jak i zagadkowego człowieka. Na przeszkodzie stawała mi ściana cienia. W końcu udało mi się stopniowo, fragment za fragmentem, wydrzeć Seuratowi jego tajemnice..."

Efektem jest ponad 300-stronicowa książka — dzieje życia i dzieje kierunku, który Seurat stworzył i uosobił w swoich obrazach.

Henri Perruchot „Seurat", Wyd. PIW 1970. Przełożyła E. Radziwiłłowa. Cena 33 zł.

Przeszłość i teraźniejszość

Polonica beethovenowskie

Z lektury naszych czasopism można by wnioskować, że spośród wszystkich większych i mniejszych rocznic jakie obchodzimy w roku bieżącym, z najmniejszym społecznym rezonansem spotkała się rocznica dwóchsetlecia urodzin Ludwika van Beethovena. Również i nasze instytucje kulturalne zdają się jak dotąd przywiązywać do niej znikomą wagę, a nawet filharmonie widzą w niej — jak się wydaje — przede wszystkim okazję do kolejnego powtórzenia i tak często ponawianego żelaznego repertuaru wszystkich sal koncertowych świata. (O sławetnym przedsiębiorstwie pod tytułem „Polskie Nagrania" zamilczeć wolę). Na tym tle jasną plamę stanowi jedynie działalność Polskiego Radia oraz nieliczne, co prawda, pozycje książkowe, które pojawiły się na półkach księgarskich.

Jeżeli szpalty zarezerwowane dla historii poświęcam omówieniu książki Zofii Lissa „Polonica Beethovenowskie" (Polskie Wydawnictwo Muzyczne, 1970), czynię tak dlatego, że jest to publikacja zasługująca na uwagę również i z historycznego punktu widzenia. Rocznice mają zwykle to do siebie, że aktualizując w społeczeństwie przypominaną postać z przeszłości zwracają na nią baczniejszą uwagę także i badaczy. Wyniki ich studiów ukazują się jednak zazwyczaj dopiero wtedy, kiedy o rocznicy już nikt nie pamięta. Nie wiem, czy do powstania książki Z. Lissa przyczyniły się obchody 125-lecia śmierci wielkiego kompozytora w 1952 roku czy też nie, pozostaje jednak pocieszającym faktem, że pojawia się ona akurat w roku 1970, w roku beethovenowskim, zadając kłam zadawnionej praktyce. Jest to znacznie więcej, niż publikacja okolicznościowa, tego rodzaju drobiazgowe studia nie rodzą się z dnia na dzień i muszą być wynikiem wieloletnich skrupulatnych poszukiwań.

Podczas przeglądania wydanego w 1955 roku katalogu tematycznego dzieł wielkiego kompozytora w dziale utworów nie oznaczonych liczbą opusu autorka odnalazła — jak sama powiada — „ze zdumieniem" — „opracowanie dwu polskich pieśni ludowych" autorstwa Beethovena. Przy bliższym wejrzeniu w bibliografię beethovenowską miało się niebawem okazać, że obie te „polskie pieśni" były już dwukrotnie wydane drukiem — raz w 1941 roku, drugi raz w 1956, choć żaden z polskich muzykologów na to dotąd nie zwrócił uwagi. Te fascynujące stwierdzenia skłoniły autorkę do podjęcia niezmiernie żmudnych badań, które poszły w dwóch kierunkach. Były to więc — po pierwsze — studia muzykologiczne nad polonicami w twórczości Beethovena, po drugie zaś — ściśle związane z nimi poszukiwania par excellence historyczne dotyczące kontaktów kompozytora z Polską i Polakami.

Muzykolog okazał się być wybornym historykiem. Autorka ustaliła więc, że owe „polskie pieśni" stanowią część większej całości, mianowicie obszernego zbioru pieśni różnych narodów opracowanego przez kompozytora w latach 1815—1818 i pozostają w ścisłym związku z jego żywymi zainteresowaniami folklorystycznymi. Szukając odpowiedzi na pytanie, skąd kompozytor zaczerpnął obie pieśni autorka przedstawiła czytelnikowi długą galerię Polaków, którzy czy to na pewno, czy tylko zapewne byli jego znajomymi, a także innych osób znających Polskę, zastanawiała się też nad tym, kto mógł około 1799 roku zaprosić Beethovena do jej odwiedzenia! Choć kompozytor podjął to zaproszenie, jego wyjazd do Polski nie doszedł jednak do skutku. Acz kolwiek przypomniano wiele nazwisk, a wśród nich całkiem już zapomniane (kto bowiem pamięta dziś o kontaktach kompozytora z Antonim Radziwiłłem czy o tym, że Elżbieta Lubomirska była jego uczennicą?) nie udało się ustalić osoby, która mogła podsunąć Beethovenowi polskie pieśni ludowe. W takiej sytuacji Z. Lissa stawia hipotezę, że mógł on je usłyszeć „in crudo, w czasie swego letniego pobytu na Śląsku, zaproszony do zamku ks. Lichnowskiego", co miało miejsce w 1806 roku. Beethoven bawił wówczas przez jakiś czas w Hradyszczu i bywał częstym gościem u Oppersdorfów w Głogówku.

Ze znacznie większą dokładnością udało się autorce zidentyfikować obie opracowane przez Beethovena pieśni jako autentyczne polskie pieśni ludowe, znane naszym badaczom folkloru.

Nie były to jedyne ślady polskie w twórczości kompozytora. „Zgodnie z tradycjami XVIII w. — a zwłaszcza niemieckiego późnego baroku — symbolem polskości w muzyce stylu polskiego, „gout polonais", był polonez" — powiada autorka. Polonezy pisywali jak wiadomo najwybitniejsi obcy kompozytorzy poczynając od Francois Couperin, Jana Sebastiana Bacha, a zwłaszcza Filipa Telemanna, niedziwne więc że udało się je odnaleźć także i w twórczości Beethovena w liczbie siedmiu. „Charakter polonezowy" wykazuje jednak więcej jego utworów. Nie zajmują one jednak zbyt poczesnego miejsca wśród dzieł kompozytora.

Autorce chodziło w książce o zbadanie nie tyle roli Beethovena w polskiej kulturze muzycznej, ile odwrotnie, określenie roli elementów polskich w jego twórczości, o oznaczenie jego kontaktów z Polską, Polakami i polską kulturą muzyczną, nawet jeśli były one — w porównaniu z innymi — stosunkowo nikłe. Inne zagadnienia, takie jak recepcja Beethovena w Polsce w XIX wieku czy jego wpływ na muzykę polską, zostały potraktowane marginesowo. Książka Z. Lissy wypełnia dotkliwą lukę w naszej wiedzy nie tylko o kompozytorze, którego dwóchsetną rocznicę urodzin obchodzimy w roku bieżącym, lecz także naszej wiedzy o polskiej kulturze artystycznej w ogóle. Dlatego poświęciłem jej ten felieton.

JÓZEF GRZELAK

OD REDAKCJI: „Ulisses" Jamesa Joyce'a, najgłośniejsze dzieło literackie XX wieku, które ukazało się w roku 1922 dociera do nas w polskim przekładzie z blisko pięćdziesięcioletnim opóźnieniem. Może dlatego towarzyszy tej niełatwej, a nawet wymagającej przy lekturze sporo cierpliwości, książce, posmak sensacji i nastrój wielkiego oczekiwania. 40-tysięczny nakład został wyczerpany niemal natychmiast. Pojawiły się już, w rekordowo szybkim, jak na nasze stosunki krytyczne, czasie, pierwsze omówienia i recenzje.

Pragnąc przyjść z pomocą tym czytelnikom, którzy przedzierają się dopiero przez labirynty struktury powieściowej Joyce'a oraz rekompensując zawód tym czytelnikom, którym nie udało się zdobyć polskiego przekładu „Ulissesa", publikujemy fragmenty stenogramu dyskusji, zorganizowanej w Katedrze Literatury Polskiej Uniwersytetu Łódzkiego na temat tej głośnej powieści.

Podstawę dyskusji stanowiły dwa referaty: prof. dr Witolda Ostrowskiego oraz dr Jerzego Tyneckiego, z których to referatów możemy przedstawić, podobnie jak z innych wypowiedzi, niestety, tylko nieznaczny ułamek.

PROF. DR WITOLD OSTROWSKI: Lata międzywojenne stopniowo przyzwyczaiły krytyków literackich do „Ulissesa", choć nie był on bardzo popularny u czytelników jako książka, wymagająca wiele samozaparcia i cierpliwości przy lekturze. Po wojnie rozwinęła się, zwłaszcza na gruncie amerykańskim, krytyka i egzegeza naukowa książki. Z perspektywy czasu oceny stały się mniej emocjonalne.

W 1944 roku Levin pisał przeciw poglądowi, jakoby technika strumienia świadomości była zbliżeniem literatury do życia, jakimś doskonalszym realizmem.

W 1948 roku Philip Toynbee analizując powieść nazwał ją bardzo wielką powieścią, ocenił jej plusy i minusy i zakończył swoją krytykę: „Gdyby każda część była warta zdumiewającej całości, byłoby to największe dzieło prozatorskie, jakie kiedykolwiek napisano". A to, zdaniem Toynbeego, ze względu na ambicje artystyczne autora i całościowe architektoniczne wrażenie powieści.

W 1953 roku Arnold Kettle widział w „Ulissesie" książkę, która najbardziej odpowiada fieldingowskiej definicji eposu komicznego pisanego prozą. Kettle widzi w „Ulissesie" pod wieloma względami najbardziej zdumiewającą i błyskotliwą w historii próbę przedstawienia człowieka, istoty społecznej, w jej pełnej i oszałamiającej złożoności. Ale Kettle uważa, że struktura i baza tego eposu zostały zastąpione przez kilka cieniutkich, mistycznych nitek, które ostatecznie nie znaczą prawie nic. Stosunek pomiędzy Bloomem a Stefanem jest mistyfikacją, której znaczenie narzucone jest z góry za pomocą olbrzymiego aparatu tego, co można opisać tylko jako gierki słowne. Błąd powieści wynika z jałowości wizji życia. Kettle krytykuje także użycie języka przez Joyce'a. Za wartość „Ulissesa" uważa śmiech i współczucie. Ale jego zdaniem efekt ostateczny powieści jest niezadowalający.

Zamknę tę krótką rewię krytyków opinią Waltera Allena. Allen uważa, że chociaż jest to prawdopodobnie w najwyższy sposób zintegrowana technicznie powieść, jaką kiedykolwiek napisano, jest ona jednak eposem rozkładu. Allen przepowiada jednocześnie, że „Ulisses" przejdzie do historii przede wszystkim jako „powieść lokalna", a więc rodzaj powieści regionalnej.

To spojrzenie Allena wydaje mi się słuszne. Obecnie kształtuje się tendencja, aby widzieć w „Ulissesie" komiczny obraz życia dublińskiego. Jako historyczny obraz przełomowej chwili załamywania się tradycji i postępującego rozkładu społecznego, pozostanie on na zawsze w literaturze. Za drugą cechę trwałości książki osobiście uważam rytm, dźwięczność i bogactwo języka Joyce'a, nie do oddania, niestety, w przekładzie. Właśnie w przekładzie odczuwa się niezmiernie brak szybkiego, lekkiego rytmu i melodii języka Joyce'a tam, gdzie jest on najprostszy.

DR JERZY TYNECKI: Jeśli „Ulisses" ma być czytany, komentowany, krytykowany lub przyjmowany jako objawienie w opozycji do tzw. realistycznej techniki pisarskiej utożsamianej z tradycją XIX-wiecznego pisarstwa, przyjęciu tej książki narzuca się fałszywy skrót perspektywiczny, w którym ginie humanistyczna wymowa dzieła, a dochodzą do głosu uproszczenia: najpierw awangardowej literatury XX wieku, a potem tej eklektycznej mieszaniny tradycjonalizmu i awangardy, którą znamy jako literaturę współczesną. Jest to literatura pozbawiona krytycznej samowiedzy, przerzucająca winę za permanentny stan kryzysu, w którym się znajduje, na najbliższą sobie tradycję i łudząca się, że wydostanie się z tego kryzysu jakimś przyjętym od pisarza, uznanego za geniusza czy prekursora, technicystycznym zabiegiem.

Czerwcowy dzień w Dublinie

O „Ulissesie" Jamesa Joyce'a

Dopóki „Ulisses" nie dotarł do Polski, mogła kwitnąć legenda, że mieści się w nim wzór takiego technicystycznego zabiegu. A właściwie dwa wzory: monolog wewnętrzny, którego wynalazcą ma być Joyce i symbolistyczna technika pisarska. Ale od chwili, gdy mamy polski przekład „Ulissesa", łatwo sprawdzić, że monolog wewnętrzny gra stosunkowo znikomą rolę w kompozycji powieści i że nie ma tam wcale narracji, którą można by przypisać jednemu, transcendentnemu wobec przedstawianej rzeczywistości, opowiadającemu. Zatem nie monolog wewnętrzny, ale brak ujawniającej się w jednolitym ujęciu narracji transcendencji, stanowi zapewne kamień węgielny powieści. Nic, żadna, niczyja osobowość poza tym co dzieje się w „Ulissesie", nie konstruuje tam obrazu, który nasyca się nie tym, co autor traktuje jako fabułę, lecz tym, co stanowi treść przeżyć osób, którym towarzyszymy w dniu 16 czerwca 1904 roku w Dublinie.

DR ADELA STYCZYŃSKA: Wydaje mi się, że trudno będzie się zgodzić z Kettlem na temat tego, co nazywa gierkami słownymi Joyce'a. Moim zdaniem krytyk upraszcza w tym wypadku zagadnienie. Najlepszym potwierdzeniem tego, że w „Ulissesie" nie chodzi bynajmniej o gierki słowne, jest możliwość wielu interpretacji książki. A przecież Kettle nie dostrzega jakby także tej warstwy powieści, która wiąże się już ściśle z dziedziną muzyki. Bo, jak się często o tym pisze, koncepcja „Ulissesa" opiera się w znacznej części na strukturach muzycznych. Tego rodzaju koncepcję możemy odnaleźć zresztą również w prozie Prousta, którego nikt o gierki słowne nie posądza.

Warto może przypomnieć, że wpływ muzyki na Joyce'a ma swoje głębokie powiązanie z biografią pisarza. Choroba oczu, która niemal pozbawiła go wzroku, zgodnie z prawami kompensacji, szczególnie uwrażliwiła Joyce'a na dźwięk. Można chyba wreszcie stwierdzić, że niezależnie od wszelkich innych walorów książki, muzyczność stanowi istotną wartość „Ulissesa".

MGR GRACJAN JORDAN: Mówiąc o muzyczności bierzemy pod uwagę samą stronę dźwiękową tekstu. Jeśli zaś chodzi o stronę dźwiękową to w odniesieniu do prozy trudno używać terminologii struktur czysto muzycznych. Przecież struktury muzyczne a dźwiękowe znane w tekstach literackich nie nakładają się na siebie w sposób uchwytny. Poza wyjątkiem pieśni, gdzie słowo i muzyka są spójne. Powstaje zatem pytanie, czy samo naśladowanie określonej kompozycji muzycznej odnosi się tylko do strony dźwiękowej? Krytyka używa wprawdzie często określenia, że czyjaś proza jest muzyczna, ale myślę, że warto to uściślić.

Byłoby wreszcie ciekawe zastanowić się przez moment, czy ta szeroka recepcja Joyce'a nie wskazuje na to, że w jego dziele istnieje jakiś czynnik, który jest odpowiedzią na potrzebę czasu. Użyję tu odległej analogii. Jeden ze znanych psychiatrów polskich stwierdził, że w patologii klinicznej możemy zawsze uchwycić normę społeczną. Tak więc na przykład w psychiatrii XIX wieku schizofrenie były rzadkością. Nie dlatego, że ich w ogóle nie znano, ale stąd, że wiek ten nie ma tendencji rozszczepiennych. Charakteryzuje się chłonięciem wszystkiego i maksymalnym przeżywaniem świata zewnętrznego. Dlatego też psychiatra ten twierdził, że w wieku XIX przeważają histerie — maksymalne przeżywanie zewnętrzności. Według niego społeczeństwa wieku XX mają tendencję schizofrenoidalne.

Spróbujmy rozumowanie to odnieść do Joyce'a. Przy wszystkich niezbędnych zastrzeżeniach. Otóż wydaje mi się, że jeśli powstało dzieło o tak szerokim rezonansie w całym świecie, to znaczy, że odpowiedziało na zamówienie społeczne. Wydaje mi się, że w jego koncepcji tkwi odpowiedź na istotne problemy naszego czasu. Sądzę, że jego popularność świadczy o istotnej roli społecznej, jaką odgrywa „Ulisses", jeśli chodzi o człowieka wieku XX.

DR ZYGMUNT GROSBART-ROMANOWSKI: Usłyszałem że jedna z możliwych interpretacji Joyce'a prowadzi „Ulissesa" w kierunku zupełnej obojętności do zagadnień moralnych. I chcę się powołać na zdanie zmarłego niedawno Maxa Borna, który twierdził, że kryzys moralny wiąże się z myśleniem naukowym, zaprzeczającym normom etycznym, stanowiącym dorobek dziejowy ludzkości. I to myślenie naukowe, co nie dotyczy może tylko naukowców — humanistów, prowadzi ludzkość w kierunku obojętności wobec norm moralnych. Widziałbym tu paralelę. Może właśnie myślenie Joyce'a zbliżone jest do myślenia naukowego, bo przecież pisarz ten ma ambicje przedstawienia człowieka w najpełniejszych wymiarach.

O „Ulissesie" wypowiedziano wiele opinii. Cieszy, że są wśród nich także nasze, polskie. Zauważam jednak, że wielu interpretatorów Joyce'a wypowiada się autorytatywnie o książce, nie czytając jej w oryginale. To chyba zbyt daleko posunięta odwaga. Przeczytałem na przykład wypowiedź pewnego polskiego krytyka, który zachwyca się przekładem Słomczyńskiego, chociaż nie zna oryginału, tylko, jak pisze, przekład francuski. Trochę mnie to dziwi, krytyk ten stwierdza, że przekład jest kongenialny, bo dokładny w sensie leksykalnym, a jednocześnie wiernie oddaje ducha pierwowzoru. Może to prawda, ale przecież każdy język ma swoje właściwości, i doprawdy przy transiacji zawsze coś jednak traci. I może, gdyby recenzent znał oryginał, dostrzegłby w przekładzie polskim jakieś skazy.

MGR JERZY PORADECKI: Chciałbym tu zwrócić uwagę na pewne zagadnienia związane z dziejami recepcji Joyce'a, a także na konsekwencje, które wynikają z nich aktualnie. I w tym celu oprę się na dwóch tezach Auerbacha, który podzielił dzieła literackie na dwie grupy w zależności od tego, jak je może odbierać czytelnik. Do pierwszej należą te, które koniecznie trzeba interpretować i to na wiele sposobów. Przykład: Biblia. Do drugiej te, które interpretować się nie pozwalają, można je tylko opisać czy omówić. Przykład: Odyseja. Otóż u Joyce'a spotykamy elementy obu tych grup. Spróbuję to rozwinąć odwołując się do dwóch koncepcji pełnego człowieczeństwa. W pierwszym wypadku jest to człowiek doskonalący się jednokierunkowo, w drugim człowiek poszerzający swoje doznania o jak największą gatunkowo, ilość przeżyć. U Joyce'a wydarzenia z życia jednego człowieka stają się symbolem, znakiem czegoś głębszego, co ma swoje odpowiedniki u innych ludzi. Widzę tu związek z Biblią. Przecież chrześcijaństwo w zasadzie nie uznaje czasu, historii. Zna jeden tylko postulat — doskonalenie moralne człowieka. I stąd określony kształt literatury związanej z tym kręgiem przemyśleń. Charakterystyczne, że chrześcijaństwo posługuje się schematem literackim, który da się odczytać i w „Boskiej Komedii" i w „Żywotach świętych"... i u Joyce'a. To jest pozaczasowa koncepcja sytuacji moralnej.

Joyce zdaje sobie sprawę z niedostatków tego schematu, toteż w listach do przyjaciół mnoży interpretacje „Ulissesa", przekonuje ich, że każdy fakt z życia bohaterów jest symbolem czegoś ważniejszego, dziejącego się poza nimi. Wszystko jest tu „figurą", ale to tradycja niebezpieczna, bo właściwie nic się tutaj nie da powiedzieć o historii. Eliminacja rzeczy mniej istotnych prowadzi do syntezy, którą Beckett ujął w obrazie „kobiet rodzących nad grobem". Kiedy symbole załamują się, otrzymujemy ostatecznie „powieść lokalną". A załamanie takie przychodzi. Pierwszy tego rodzaju kryzys, jak twierdzi Auerbach wystąpił pod koniec średniowiecza, kiedy powstała „Boska Komedia" Dantego. Współczesna proza zmierza do analogicznej kryzysowej sytuacji. Jest to kryzys jednocześnie stylistyczny i światopoglądowy. Wydaje się też, że kryzys zaufania do Joyce'a jest wyrazem nieufności człowieka współczesnego nie tylko do literatury, ale do świata w ogóle.

Prof. dr WITOLD OSTROWSKI: Spróbuję tu ustosunkować się do niektórych wypowiedzi.

Praca Kettle'a w ramach tradycji marksistowskiej szeroko omawia wartości Joyce'a. Krytyk ten stwierdza, że ambitne zamierzenie nie zostało w pełni rozwiązane, gdyż pisarz zbudował wprawdzie olbrzymią strukturę powieściową, ale mamy do czynienia z pustką, jałowością wizji życia. Największe wrażenie wywiera przede wszystkim struktura słowna. Ale zgodziłbym się z Kettlem, że Joyce zbyt często daje się pociągnąć fascynacji materiału słownego. A to prowadzi do formalizmu.

Jeśli chodzi o muzyczność, to przyznaję, że nie znam się na języku krytyki muzycznej. Mogę więc powiedzieć tylko, co uważam za muzyczną stronę oryginału. Odczuwa się tu potoczystość zdania w specjalnym, zmiennym rytmie w zależności od tego, co to zdanie wyraża, czy ruch, czy też na przykład statyczność. Jest też w oryginale coś, co można nazwać elementami dźwiękowymi, jakie spotyka się w poezji przeszłości a więc rytm, aliteracje itp. Ten materiał dźwiękowy u Joyce'a istnieje. Trudno mi natomiast powiedzieć, czy powieść zbudowana jest według zasad kompozycji muzycznej. O rytmiczności można mówić na przykład wtedy, gdy Stefan odbiera wrażenia fal. W tym miejscu rytm zdania jest dostosowany do rytmu fal morskich. I choćby dlatego nie można pisać autorytatywnie o „Ulissesie" w oparciu o przekład, konieczna jest znajomość oryginału.

Przeczytałem polski przekład i przyznaję, że było to ciężkie zadanie, znacznie cięższe niż czytanie oryginału. To oczywiście nie znaczy, że przekład jest po prostu zły i być może trudno zrobić go lepszym. Ale jest jedna zasadnicza różnica, gdy chodzi o rytm oryginału i przekładu polskiego. Joyce chciał zachować absolutną jedność czasu i miejsca. (Czas czytania powieści pokrywa się w oryginale z czasem trwania akcji). Zabieg ten wymagał specjalnego rytmu, który w przekładzie polskim został zagubiony, czyta się książkę dłużej niż w oryginale. Oczywiście istnieje podstawowa różnica między rytmem języka polskiego i angielskiego, stąd trudność dochowania wierności oryginałowi. Profesor Sinko, z którym rozmawiałem niedawno, stwierdził, że tam, gdzie tłumacz „Ulissesa" oddaje gierki słowne, kalambury czy hybrydy słowne, na ogół radzi sobie nieźle, choć w wielu wypadkach użyte przez niego słowa mają inną wartość emocjonalną. Przekład zawodzi natomiast tam, gdzie tekst jest najprostszy. Tłumacz nie oddaje potoczystości kolokwialnego języka angielskiego. Przekład jest w tych partiach raczej słaby, chybiony.

Oprac. K. F.

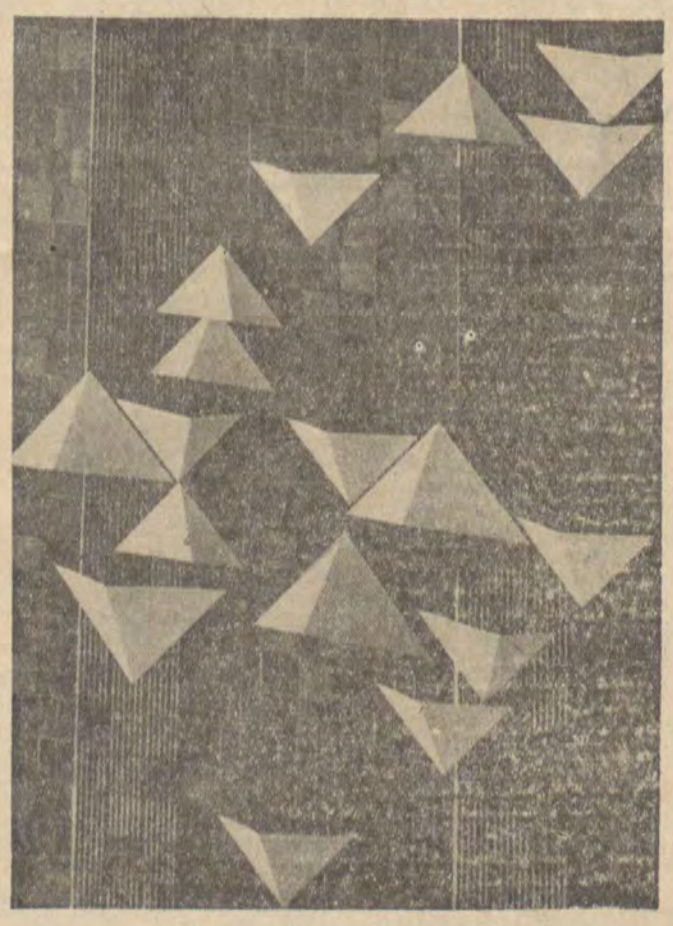

BARBARA KLIOMBKA

SZTUKA DLA SZTUKI?

Film dokumentujący, interpretujący i popularyzujący sztukę, czyli po prostu — film o sztuce, stał się stałym składnikiem współczesnej kultury filmowej.

Wielorakość jego funkcji powoduje stały wzrost zainteresowania, czego wymiernikiem jest liczba przeglądów, spotkań i sesji, jak również powstanie literatury fachowej, omawiającej jego specyfikę.

Tegoroczny III Przegląd Filmów o sztuce w Zakopanem nie przyniósł niestety rewelacji.

Filmy o sztuce zostały przedstawione na dwóch pokazach: **„Refleksja i romantyka przeszłości"** oraz **„Dokumentacja i analiza współczesności"**. Podział ten wobec wielu zastrzeżeń natury merytorycznej byłby nieistotny, gdyby nie fakt, że wpływał na ostateczny podział nagród w Plebiscycie Widzów.

Pokaz otworzył film produkcji WFD „Kamień, czyli opowieść o Bolku Świdnickim, Księciu najmiłościwszym, dziedzicu ostatnim ziemi piastowskiej". Reż. Andrzej Brzozowski i operator Jan Hesse w niebanalnie komponowanych ujęciach ukazali fragmenty Kościoła w Krzeszowie k/Świdnicy, będącego jednocześnie Mauzoleum Piastów Śląskich. Ożywili kamień, zmieniając go w opowieść o czynach rycerskich Bolka II. Nastrój filmu został podbudowany fragmentami muzyki dawnej — kościelnej i rycerskiej.

Do skarbca dawnej muzyki polskiej wykonanej przez Zespół Madrygalistów Filharmonii Pomorskiej oraz Capella Bydgostiensis Pro Musica Antiqua sięgnął reż. Zbigniew Bochenek przy realizacji drugiego z prezentowanych filmów — „Requiem Wita Stwosza". Szkoda, że film ten, niezwykle cenny ze względu na zaprezentowanie mało znanej rzeźby nagrobnej Wita Stwosza, zbudowany jest według maniery, której od kilku lat hołduje Zbigniew Bochenek. Forma precyzyjnej prezentacji, podporządkowanej kompozycji utworu muzycznego, stanowiącego warstwę dźwiękową filmu, nośna w „Passacagli na Kaplicę Zygmuntowską", powielona w następnych tematach filmowych, które się nie zawsze do tego nadawały, stała się po prostu nieznośnie nudna.

„Warszawa w malarstwie Canaletta", film zrealizowany przez Jarosława Brzozowskiego, oczekiwany był jako nowe spojrzenie na malarstwo Bernardo Belotto, gdyż reż. Jarosław Brzozowski zrealizował przed paroma laty czarno-biały film o tym malarzu. Nowe spojrzenie cieszyło tylko barwą, natomiast zamysł, o którym była mowa na początku ilmu — pokazanie jak obrazy Canaletta, będące panoramą Warszawy wieku Oświecenia, zostały wykorzystane przez architektów i budowniczych, wskrzeszających po wojnie stolicę z gruzów, załamał się w zaraniu.

Interesujące natomiast było ponowne ukazanie w filmie malarstwa Jana Matejki. Uwaga realizatorów skupiła się na zaprezentowaniu osoby mistrza Jana, szczerego patrioty, którego wielkie zaangażowanie w sprawy ojczyzny, przejawiło się w malarstwie powołanym do życia „ku pokrzepieniu serc". „Pasje Jana Matejki", film zrealizowany przez Jarosława Brzozowskiego ukończył po jego śmierci (29 sierpnia 1969 r.) Kazimierz Mucha, starając się oddać ściśle zamierzenia autora.

Samodzielną realizacją Kazimierza Muchy był następny z prezentowanych filmów, również film monograficzny — „Chimera na polnej drodze". Film ten, z przeboga tej twórczości Jacka Malczewskiego, zebranej na wystawie w Muzeum Narodowym w Poznaniu w 50 rocznicę śmierci malarza, wybrał konsekwentnie te obrazy, które określa tytuł filmu. Dobry efekt uzyskany przez stworzenie komentarza z tekstów źródłowych adekwatnych do czasów prezentowanych w obrazach Matejki — tu zupełnie się nie sprawdził.

Tytuł następny — „Olga Boznańska" zaprezentował zupełnie inną formę filmu monograficznego. Po impresyjnym filmie o Malczewskim prezentacja osoby i malarstwa Boznańskiej, prowadzona w formie wykładu, wydała się ideałem rzeczowości, prostoty i piękna. Realizatorka — Aleksandra Jaskólska w niezwykle sugestywny, interesujący sposób zaprezentowała życie i osobowość artystki oraz jej malarski dorobek. Zastrzeżenia budzi jedynie sekwencja, w której są prezentowane portrety. Tu skończyło się kino, zaczęły przeźrocza.

Najlepszy film tego pokazu — „Gdańska sztuka kuźnicza" (reż. Jadwiga Żukowska, zdjęcia — Stanisław Sliskowski) ukazywał sztukę w akcie tworzenia, powstawania poszczególnych elementów (kula, węzeł, róg itp.). Precyzyjnie przemyślana konstrukcja filmu i kompozycja zdjęć oddawała ogrom piękna zamkniętego w żelaznych konstrukcjach.

Ostatnim filmem tego zestawu była bardzo osobista, zrealizowana przez Jerzego Mierzejewskiego, monografia poświęcona życiu i dziełu ojca — „Jacek Mierzejewski 1884—1925".

Drugi dzień przeglądu był bardzo kontrowersyjny jeśli chodzi o dobór prezentowanych filmów. Zastrzeżenia w tym względzie wzbudziła prezentacja dwóch filmów: „Kształt pamięci" — reż. Leszek Skrzydło i „Epitafium" — reż. Franciszek Fuchs, poświęconych polskiej martyrologii z II wojny światowej, miejscom uświęconym krwią i upamiętnionym pomnikami. Film „Epitafium" był doskonalszy artystycznie zarówno jeśli chodzi o kompozycję materiału, jak i stronę zdjęciową.

Zastrzeżenia również wzbudziło zakwalifikowanie filmu „W Polsce" reż. Andrzeja Szczygła, prezentującego współczesną architekturę polską, na przegląd filmów o sztuce.

Nie powiodło się na tym przeglądzie Konstantemu Gordonowi, autorowi wielu interesujących filmów o sztuce. Jego „Szczecińskie muzy" — film o środowisku artystycznym Szczecina, plastycznym, muzycznym, teatralnym, nie podźwignął ogromu tematu, popadł przez to w natrętną banalność.

Wiele kontrowersji wzbudził również film „Tren" — próba stworzenia przy pomocy uznanych dzieł innych sztuk, nowej formy wypowiedzi artystycznej. Realizator Marian Ussorowski zilustrował w nim fragmentami obrazu Picassa — „Guernica", utwór muzyczny „Tren" Krzysztofa Pendereckiego.

Najciekawszymi filmami tego przeglądu były trzy ostatnie pozycje. „Wyspa małego człowieka" — film, w którym realizator, Andrzej Papuziński, zaprezentował szeroki wachlarz starannie dobranych form, stosowanych przez polskich grafików — ilustratorów książek dla dzieci. Niezwykle interesujący był w tym filmie podkład dźwiękowy — harmoniczne brzmienie dziecięcych głosów z muzyką (napisaną przez Zygmunta Koniecznego) stwarzało stałą relację: książka — dziecko. Tym samym zasadom odpowiadało połączenie: głos lektora — głosy dzieci. Pomysł bardzo piękny szkoda, że nie rozwinięty i nie zróżnicowany, przez to monotonny.

Do filmu „Rezerwat" — reż Kazimierz Urbański, muzykę napisał również Zygmunt Konieczny, muzykę niezwykle ekspresyjną, wspaniale brzmiącą z przedstawianym tematem — rzeźbami Bronisława Chromego.

Film „Dziwni artyści po obu stronach Babiej Góry" zaprezentował artystów — prymitywistów: rzeźbiarza Karola Wójcika zwanego Herodkiem i malarkę — Dorotę Lampart. Zasługą realizatorki, Mirosławy Marcinkiewicz jest odnalezienie i przedstawienie tych niezwykłych artystów, zasadniczą zaś wadą realizacyjną — złe wyważenie proporcji pomiędzy nadmiernie rozbudowaną prezentacją ich postaci, warunków życia, a wątłą — samych dzieł przez nich stworzonych.

Ponieważ Telewizja Polska w roku ubiegłym przedstawiła na przeglądzie filmy — portrety, tym razem zaprezentowała inne formy filmowej wypowiedzi z zakresu sztuki.

Jedynie film „Zegadłowie" (reż. Ryszard Wójcik) nawiązał formą do prezentacji ubiegłorocznej.

Bardzo interesujące było „Bienna le plakatu". Autor filmu — Stefan Szlachtycz w precyzyjnie pomyślanej realizacji zaprezentował plakaty zgromadzone w Warszawie na Międzynarodowym Biennale Plakatu w roku 1968. Prace zostały zaprezentowane w sposób analityczny, przy czym nie zostało uronione nic z treściowej wymowy poszczególnych dzieł, co zdarzało się często w realizowanych wcześniej filmach o plakacie.

Filmem o dużych walorach artystycznych i poznawczych była pozycja „Plastycy Gruzji", reż. Grzegorza Dubowskiego.

Zostały również zaprezentowane filmy popularno-naukowe TV. Były to filmy z cyklu „W świecie sztuki": „Wawel" i „Architektura zabytkowa Warszawy", oba zrealizowane przez Annę Boczkowską i Marię Korotyńską, które podjęły się rzeczy niezwykle trudnej — ponownego ukazania rzeczy ogólnie znanych i wiele razy prezentowanych.

Najsłabszym filmem tego przeglądu był chyba tytuł zrealizowany przez Włodzimierza Kamińskiego „Lekcja rysunków", impresyjny reportaż z lekcji rysunków w jednej ze szkół warszawskich, której tematem jest wojna w Wietnamie. Film pretensjonalny, naiwny w realizacji.

Oczekiwałam, że po tej projekcji, zwyczajem tradycyjnym dla przeglądu zakopiańskiego, odbędzie się burzliwa dyskusja pomiędzy realizatorami z wytwórni filmowych a przedstawicielami TV, zainteresowanymi profesjonalnie filmem o sztuce. W poprzednich latach oskarżali się wzajemnie o kradzież tematów, nie potrzebne dublowanie. W tym roku panowała cisza. Konflikt ten zginął śmiercią naturalną, stało się oczywiste dla wszystkich, jak różne są środki wyrazowe filmu kinowego i filmu telewizyjnego i jak wielkie jest zapotrzebowanie na dobry film o sztuce. Ale takiego filmu na przeglądzie nie było.

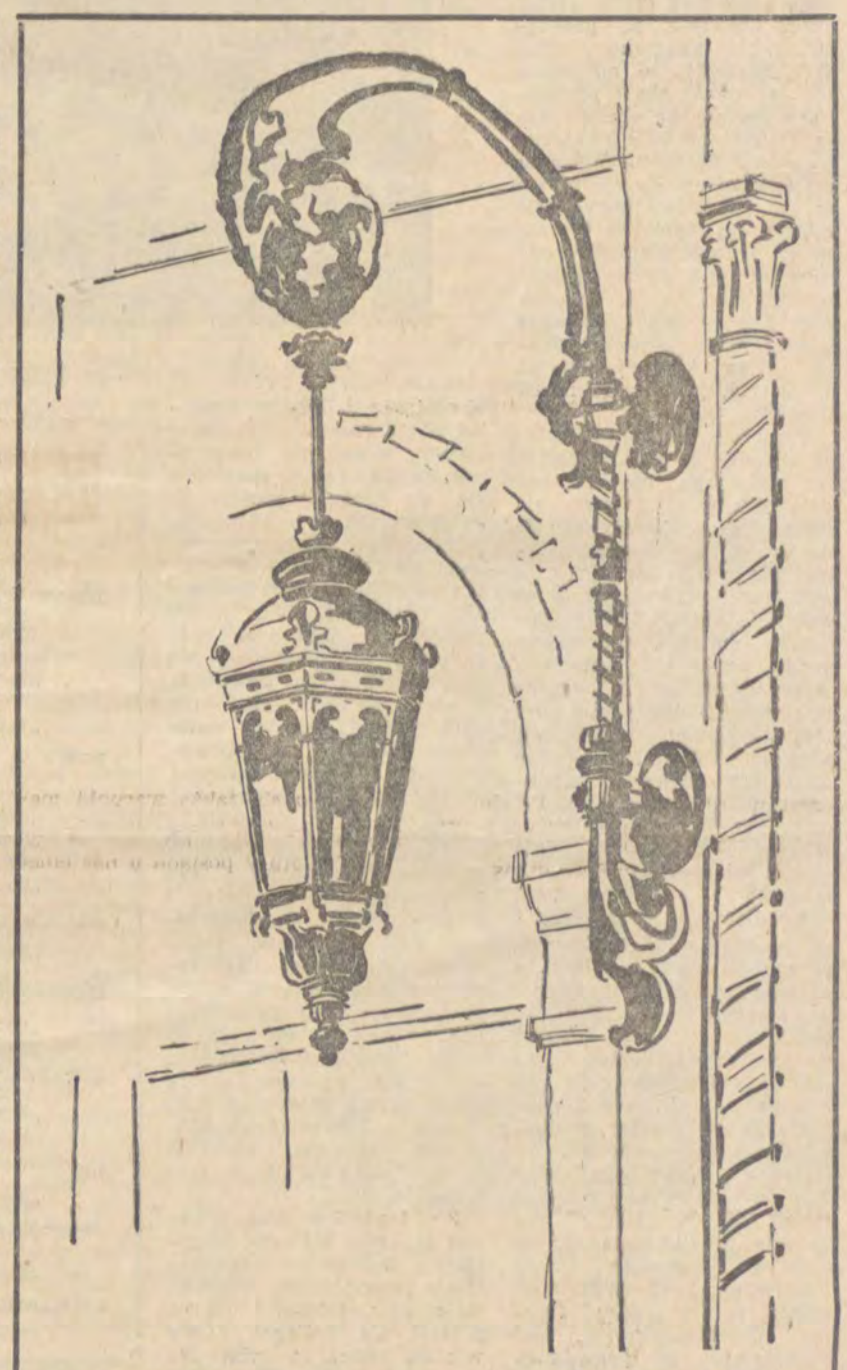

Zabytkowa latarnia — *Rys. Wiesław Karolak*

ANDRZEJ HAMPEL

Dewaluacja słowa

Rozprawiwszy się z tzw. „małym realizmem" Michał Sprusiński ruszył w bój rozdzielając gęsto razy, wystawiając cenzurki młodej poezji („Nowe Książki" nr 1/70). Nie wdając się atoli w merytoryczną polemikę z dokonanymi przez Sprusińskiego ocenami konkretnych tomików wierszy, trzeba jednocześnie zgodzić się z niektórymi wnioskami zawartymi w jego eseju.

Dla każdego bacznego obserwatora życia literackiego jasnym jest proces dewaluowania się poezji. Powodów tej stopniowej i systematycznej dewaluacji jest wiele, ale odpowiedzialnością za ten fakt obarcza się zazwyczaj samych poetów. I przynajmniej w części, nie bez racji. Bowiem zdezintegrowana, poszukująca nowych dróg i form najbardziej właściwych dla oddania istotnych treści psychicznych człowieka współczesnego i nowoczesnego, twórczość młodo-poetycka ciągle nie może zdobyć się na syntezę, na wstrząśnięcie zdezorientowanym, jakże często obojętnym czytelnikiem. Taka jest jedna strona przysłowiowego medalu, drugą — stanowi rosnąca inflacja tomików wierszy, almanachów i wszelkich zeszytów poetyckich przepełnionych nierzadko tworami chybionymi, błahymi lirykami, pseudonowoczesnym gaworzeniem czyli mówiąc po prostu poezją pozorną, co jeszcze bardziej dezorientuje, a jakże często zniechęca konsumenta wrażeń poetyckich. Wydaje się jednak, że generalnych przyczyn dewaluacji słowa wierszowanego szukać należy gdzie indziej, wydaje się, że przede wszystkim w napiętej niepewnością, rozkojarzonej, osaczonej często groźnymi wiadomościami ze świata psychice człowieka, psychice jakże często zaabsorbowanej kwestiami przyziemnymi, bo kwestiami codziennego bytowania, psychice dumnej z władzy intelektu zdominowanej — jak pisał kiedyś Maciąg — przez „świat myślenia scientyficznego, które z dnia na dzień odbiera człowiekowi jego centralną rolę, a duchowi ludzkiemu jego niepodległość". Wreszcie w psychice „torturowanej" przez podającą zmieloną papkę, unifikującą wszystkich — telewizję. Rozumując konsekwentnie, można by dojść do wniosku, że wszyscy bez mała poeci są eksplorerami, pełnymi tragicznego samozaparcia, przygotowującymi teren dla przyszłego rozwoju poezji. Z podobną tezą można by się zgodzić pod warunkiem, gdyby wszyscy drukujący swoje utwory byli autentycznymi poetami, gdyby twórczość ich była istotnie powodowana potrzebą wewnętrzną, gdyby byli w pełni świadomi swoich celów i wykorzystywanych środków artystycznych. O ile jednak stosunkowo łatwo ustalić przyczyny inflacji, o tyle trudniej wytłumaczyć ją prawdziwą potrzebą, a daleko trudniej po przeczytaniu niektórych almanachów czy zeszytów poetyckich wytropić w nich wartości trwałe — czyli mówiąc po prostu znaleźć poetę, od którego możemy się w przyszłości czegoś spodziewać.

Niestety, wydaje się, że w dużej części drukowani w owych almanachach młodzi ludzie zasilą szeregi „dobrze zapowiadających się".

Niewątpliwie do inflacji poezji słabej przyczynia się zadziwiający stosunek niektórych wydawców do wydawanej książki. Jakimi kryteriami kierują się — trudno dociec, bowiem na pewno ani względy estetyczne, ani odkrywanie i lansowanie młodych talentów, ani nawet względy czysto finansowe, nie wchodzą tu w grę. (Jak dobrze, że choć konto naszego Wyd. Łódzkiego nie jest obarczone tym grzechem).

Inflacyjna nadprodukcja tomików i almanachów poetyckich nie jest mimo wszystko zjawiskiem z powodu którego trzeba załamywać tragicznie ręce, wołać o pomstę do nieba, czy też wieszczyć śmierć poezji. Uczy nas bowiem historia literatury, że i drzewiej drukowano wiele książek chybionych i słabych, przeglądanych dziś ze zdziwieniem czy rozbawieniem, a które mówią nam niemało o swojej epoce.

Na koniec warto może przytoczyć anegdotę o zapomnianym dziś poecie, Władysławie Sebyle, który podzielił wierszopisów na kilka kategorii. Pierwsza — to prawdziwi poeci, zdobywający talentem i usilną pracą własne oblicze. Druga — to literaci, lub nieliteraci, często o dużej kulturze, którzy nie orientując się w swoich możliwościach, biorą się za pisanie poezji. Łatwo jednak poznają swój błąd i działalność swą kierują, z pożytkiem, na inne tory. Do trzeciej kategorii Sebyła zaliczał autorów tomików wydanych ku radości bliższych i dalszych krewnych oraz upartych grafomanów.

Zadziwiające jak podział ten, dokonany przed wielu laty, znakomicie przystaje do sytuacji dzisiejszej.

ROMAN ŁOBODA

Rzecz niewarta aż poematu

Na Małej Sali „Teatru Nowego" idzie sztuka Aleksandra Ścibor-Rylskiego pt. „Rodeo".

Niewielka sprawa i niezbyt przepastne głębie w porównaniu z arcydziełami klasyki, które w bieżącym sezonie mieliśmy okazję z większym lub mniejszym oczarowaniem obejrzeć. W zestawieniu sprawa polska a trójkąt małżeński oczywiście trójkąt otrzymuje mikroskopijną rangę i co więksi głowacze nie absorbują sobie tym czasu. „Więc rzecz niewarta aż poematu"... ani kruszenia kopii, tym bardziej, że od wielu już lat mówi się i przypomina czemu ma służyć Mała Scena — a więc eksperymentowi dramaturgicznemu i scenicznemu. Że się mówi, to się mówi. Niektórzy dziś odkrywają Amerykę i stroją się w togi Katonów, gdy mówieniem o tej rzeczy inni zdążyli już potężnie się znużyć. Nie szkodzi. Renesans każdej myśli świadczy dobrze o owej i potwierdza jej życiowość. Problem nadal otwarty.

Tymczasem „Rodeo" święci triumfy u publiczności i nic dziwnego, bowiem codzienne życie domaga się swoich praw i wdziera się coraz częściej na sceny. Życie „bieżące", a w szczególności sprawy, które na co dzień i indywidualnie pokrywa się milczeniem, na scenie stają się bezosobowym wyznaniem i bezkonfliktowym dyskursem na temat nieraz wstydliwy, niekiedy bolesny, a zawsze nurtujący większość zjadaczy chleba. Ludzie przychodzą do teatru dwójkami, trójkami, czwórkami (nie chodzi mi oczywiście o szyk marszowy) — i dialog trwa.

Ścibor-Rylski, specjalista od problematyki sekso-erotycznej tworzy niby to zręczne sytuacje sceniczne, w zasadzie zaś opowiada życie, może nawet własne, w prostych układach konfliktowych. Mężczyzna — kobieta plus 1, razy 2 permutacje są proste, a doświadczenia sprawdzalne.

Czy głębie psychologiczne? Ani w „Bliskim nieznajomym" ani w „Rodeo" nie są one najsilniejszą stroną utworów, jednakże ostrość obserwacji i sprawdzalność relacji w nienagannej figurze dramaturgicznej jest sugestywna, bo prawdziwa w przetworzeniu na język sztuki, a zatem otrzymuje akceptację odbiorcy. Socjologia? Owszem. W samej rzeczy więc nie panoramiczna, a rzecz sprawdza się w funkcji społecznej, która wszak anemiczna w zakroju dramaturgicznym, lecz wystarczająca dla uwierzytelnienia opisywanego zjawiska. Otóż dla jasności: „Rodeo" do 7,15, jeżeli odczytać utwór farsowo! Ale można także na poważnie, bowiem problem choć nie ogólnoludzki jednak powszechnoludzki i tak naprawdę jest się z czego pośmiać, ale i nad czym zapłakać.

Elżbieta Starostecka — Małgorzata, Jan Zdrojewski — Paweł.

Wydaje się, że tak jakoś odczytali tę ludzką komedię **Elżbieta Starostecka** i **Jan Zdrojewski** (Małgorzata i Paweł). **Marka Barbasiewicza** nie widziałem, natomiast **Eugeniusz Korczarowski** zdaje się nie najlepiej się czuł, gdy go widziałem, w roli Roberta. Oboje — Starostecka i Zdrojewski dali kilka popisów aktorskich na wysokim poziomie, chociaż, mimo założenia, które im suponuję, wyraźnie grawitowali ku farso-grotesce.

I w typie i w grze, a nawet głosowo Elżbieta Starostecka znakomicie uwierzytelnia postać takiej słodkiej, małej ośmiorniczki która nie potrafi się doliczyć i nie wie do końca co uciąć. Na mój gust jest niegorsza od Lipińskiej która gra tę samą rolę z Łapickim i Łomnickim we „Współczesnym" w Warszawie. Jest w tym „chceniu i niechceniu", „możeniu i niemożeniu" Małgorzaty tragedia i komizm, że nawet nie wiem z czego by tu rezygnować. Choć reżysersko rzecz biorąc, coś winno zdecydowanie dominować.

Inni artyści: **Maria Białobrzeska** (matka Małgorzaty), **Barabara Gołębiewska** (Dorota) i **Jan Rudnicki** (ojciec Pawła) akompaniowali temu trio w sposób raczej dyskretny i muzykalny. Jeśli już o „muzyce" mowa, to odniosłem wrażenie, że pewna naiwna ilustracyjność nie była tej, tak czytelnej, sztuce zbytnio przydatna. Scenografia prosta, lapidarna, ale pomysłowo-paradoksalna i dowcipna. (Scenograf: **Wojciech Lewandowski**, opracowanie muzyczne **Anna Płoszaj**). Reżyseria: **Witold Skaruch.**

Spektakle tygodnia

	Spektakli	Widzów	Proc.
TEATR WIELKI			
„Cyrulik sewilski"	1	1260	100
„Kniaź Igor"	1	1060	84
„Zemsta nietoperza"	1	1043	83
„Tosca"	1	1180	96
„Królewna Śnieżka"	1	1260	100
NOWY			
„Życie jest snem"	2	1400	100
„Kordian"	2	700	50
„Szkoła kobiet"	2	1000	75
„Dziś do Ciebie przyjść nie mogę"	1	700	100
„Za siedmioma górami"	1	700	100
MAŁA SALA			
„Rodeo"	4	800	100
POWSZECHNY			
„Ojcowie rodzą się w szafach"	2	1050	90
„Henryk V"	1	660	100
JARACZA			
„Każdy kocha Opalę"	2	1028	100
„Placówka"	3	1542	100
7.15			
„Żołnierz królowej Madagaskaru"	4	1680	100
OPERETKA			
„Pierwiosnki"	6	4507	70
FILHARMONIA			
Koncerty symfoniczne	2	800	60

TELEOBIEKTYW

Prawo do marzeń

Z każdym dniem dochodzę coraz bardziej do wniosku, że należałoby zmienić nomenklaturę, i różnorodne formy dramatyczne, jakie zdarza nam się oglądać w telewizji, nazwać inaczej. Pojęcie „teatr telewizji" jest bowiem anachroniczne i mylące. Mylące przez słowo „teatr" i wiążące się z nim skojarzenia.

No bo jeśli teatr, to musi być coś w rodzaju sceny i dekoracje, i specyficzne aktorstwo sceniczne. Tymczasem w telewizji te zapożyczenia z prastarej sztuki teatru kurczą się. Coraz tu więcej filmu, optycznych złudzeń, przezwyciężenia ciasnych ram scenicznych. Stosunek do tekstu dramatycznego także inny. Skoro zaś tekst taki służyć mogą całe obszerne fragmenty „Pana Tadeusza" i to nie tylko partie dialogowe, ale i opisowe, to przyznać musimy, że mało to ma już wspólnego z teatrem.

Podobne refleksje nasunęły mi się w związku z programem Studia 63 „Powinniśmy marzyć... Z myśli Lenina o sztuce", nadanym w reżyserii Stefana Szlachtycza w poniedziałek 20 kwietnia. Poniedziałkowy wieczór to istny bastion teatru telewizji. I oto mury tego bastionu zaczynają się zarysowywać i pękać. Program „Powinniśmy marzyć..." był tego ewidentnym wyrazem.

Tworzywo dramaturgiczne, jakim operowali realizatorzy widowiska, mało miało wspólnego z teatrem. Wybrano niektóre wypowiedzi Lenina na temat pisarstwa Tołstoja, nowoczesnego malarstwa wierszy Majakowskiego, felietonów Arkadego Awerczenki, muzyki Beethovena. Uzupełniono to relacjami z rozmów z Leninem pióra N. Krupskiej, Maksyma Gorkiego, Klary Zetkin, pisarza angielskiego H. G. Wellsa, fragmentami poetyckimi, epizodem o obronie skarbów Ermitażu po zdobyciu Pałacu Zimowego — ze słynnej książki dziennikarza amerykańskiego Johna Reeda „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem"... I tak dalej.

Pierwszy wniosek, jaki się nasuwa, to że tkanka dramaturgiczna jest tu bardzo niejednolita. Wymieszano cząstecz ki niejednorodne. Ponadto w niektórych tylko momentach dochodziła do głosu koronna forma dramatyczna — dialog. W ślad za tym realizatorzy wprowadzali bardzo dyskretnie elementy inscenizacyjne. Trudno nawet odpowiedzieć, czy Michał Pawlicki grał rolę Lenina. Reżyser sadzał go za biurkiem ze stylową naftową lampą, wkładał w jego usta wszystkie wypowiedzi Lenina, a przecież aktor nie zrobił nic, żeby się do Włodzimierza Iljicza upodobnić w sensie fizycznym.

W tym dyskretnym potraktowaniu osoby wodza rewolucji dopatruję się dużego taktu ze strony realizatorów programu. Jak by się spłaszczyła i skurczyła intelektualna wymowa przekazywanych tekstów, gdyby zmuszono widza do egzaminowania aktora pod kątem podobieństwa do Lenina. Gdyby chodziło o tradycyjny teatr iluzji, o próbę historycznej rekonstrukcji, rzecz miałaby się inaczej. Wówczas wylejenie sobie przez aktora łysej, wysoko sklepionej czaszki, kopiowanie charakterystycznych ruchów Lenina, byłoby na swoim miejscu.

Nie sposób mówić o programie „Powinniśmy marzyć...", nie próbując ocenić jego walorów treściowych. Zacznijmy może od zarzutów. Wydaje się, że realizatorzy wybrali nieco za wąską formułę doboru materiału. Niemal wyłącznie to, co wiąże się bezpośrednio ze sztuką, estetyką, upowszechnieniem kultury. Lenin zajmował się tymi problemami dorywczo. Zaabsorbowany budowaniem nowego ustroju, rozwiązujący podstawowe problemy ekonomiczne, sprawy kultury pozostawiał swym współpracownikom. Czasem tylko, jakby mimochodem, wypowiadał swoje sądy o pewnych zjawiskach kulturowych.

Autorzy programu telewizyjnego pozostawali w sferze tych właśnie okruchów myśli, tych opinii Lenina, których on sam nie uważał za punkt widzenia obowiązujący komunistów. Np. wyraźnie mówił, że jego malarstwo futurystyczne nie wzrusza, nie dostarcza mu przeżyć estetycznych. Ale to nie oznaczało, że malarstwo to uznać należy za szkodliwe, odrzucić. Przecież w jednym z cytowanych w programie artykułów Lenin oświadcza, że nie lubi poezji Majakowskiego, a jednocześnie docenia jej żarliwość rewolucyjną i celność w atakowaniu wynaturzeń nowego ustroju.

Szkoda, że autorzy nie podbudowali tych dorywczych opinii Lenina fragmentami charakteryzującymi głęboko przemyślany system filozoficzny Lenina. Tutaj nie ma już pośpiechu, ani „prywatnych" opinii, wypowiadanych częściowo na własny użytek. Myśli Lenina o sztuce powinny być osadzone w kontekście jego filozofii, elementów leninowskiej teorii poznania. Dopiero wówczas zabrzmiałyby pełniej z ekranu.

Ale i tak program „Powinniśmy marzyć..." dostarczył nam wiele interesującego materiału do przemyśleń. Tak jak ku zdziwieniu H. G. Wellsa Lenin w rozmowie z nim okazał się „wielkim marzycielem", wizjonerem przewidującym wspaniałą przyszłość państwa socjalistycznego wbrew wyzierającej wówczas z każdego kąta nędzy i zacofania, tak i nam ukazuje się w nieco innym świetle. Przypomnijmy sobie choćby fragment z rozprawy „Co robić?", włączony do omawianego przeze mnie programu TV, w którym Lenin cytuje rosyjskiego rewolucyjnego demokratę D. Pisariewa:

„Gdyby człowiek był zupełnie pozbawiony zdolności marzenia... gdyby nie mógł wybiegać czasem naprzód i w swej wyobraźni oglądać całkowity i wykończony obraz tego samego tworu, który dopiero zaczyna się kształtować w jego rękach — to absolutnie nie mogę sobie wyobrazić, jaka podnieta zmuszałaby człowieka do inicjowania i doprowadzania do końca wielkich wyczerpujących prac w dziedzinie sztuki, nauki i życia praktycznego".

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Rozliczając się przed kilku miesiącami z wrażeń, jakich dostarczyły nam filmy prezentowane w Polsce w roku 1969, miałam okazję wypowiedzenia opinii, iż był to rok bardzo ubogi, nader rzadko dostarczający większych przeżyć natury artystycznej. Mając za sobą cztery miesiące roku 1970 gotowam niemal cofnąć te zarzuty, gdyż to, co proponuje się obecnie polskim widzom, stanowi dla ubiegłorocznych filmów niezwykle silną „konkurencję". Takiego zalewu filmów złych, nijakich, nie było u nas już bardzo dawno.

Posiadamy pełną świadomość, że „złoty okres" polskiego repertuaru kinowego mamy nieodwracalnie za sobą, gdyż wyczerpały się zapasy filmów, które przez dwa lata poprzedzające ten okres nie miały dostępu na nasze ekrany. Dziś żądamy jedynie repertuaru, który odznaczałby się swym normalnie przyzwoitym poziomem, w którym godziwa rozrywka z oczywistych względów winna królować, ale w którym byłoby również miejsce na kino bardziej intelektualne i artystycznie wyrafinowane. Godziwość rozrywki jest oczywiście pojęciem niezwykle relatywnym, ale wiadomo, iż kształtują ją w zasadzie czynniki jednoznaczne, spośród których na plan pierwszy wysuwa się dobre rzemiosło. Spartaczenie westernu, kryminału, filmu sensacyjnego, komedii obyczajowej czy melodramatu, a więc tych gatunków filmowych, na których społeczne zamówienie jest zawsze największe, jest w każdej kinematografii takim samym grzechem jak i brak filmów zabiegających o rangę sztuki.

Kinematografia, dla której takie pojęcia jak przemysł i handel, podaż i popyt winny być i są sprawami „być albo nie być", podstawę swej egzystencji znajduje w filmach klasy „B". Przed dziesiątkami lat prawdę tę zrozumiało kino amerykańskie i dbając o sprawność warsztatową stało się potentatem. Dbałość o rzemiosło stała się zresztą troską wszystkich kinematografii, ze skutkami oczywiście różnymi, na co niezbite dowody dają polskie filmy.

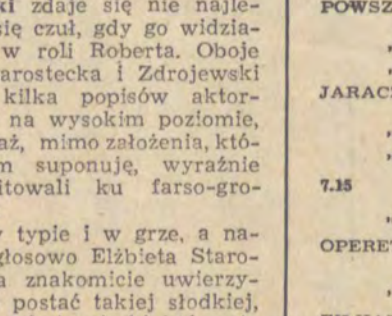

Oglądając filmy, które proponuje nam repertuar ostatniego okresu, można sądzić, że tzw. dobre rzemiosło jest sprawą przeszłości światowej kinematografii. Jest to oczywistą nieprawdą. Dzisiejsze kino dostarcza wielu przykładów na to, iż twórcy filmowi, z którymi wiązało się wiele nadziei, przeszli na pozycje kina komercjalnego, w ich wydaniu — kina znakomitego, choć rozczarowującego tych, którzy chętniej widzieliby ich jako autorów filmów bardziej ambitnych. Co więcej, kinematografia komercjalna, chyba jak nigdy dotychczas, czerpie ze wszystkich dobrodziejstw odkrywczych poszukiwań formalnych kina artystycznego, zręcznie dzięki temu maskując płyciznę intelektualne swych propozycji.

W świetle tylko tych uwag przyczyna żałosnego poziomu repertuaru naszych kin staje się bardzo zagadkowa. Być może, że tkwi ona w możliwościach dewizowych naszej kinematografii, ale wówczas nasze żądania przypomnieć muszą tym, którzy dokonują zakupów, iż pewne prawo oraz potrzeba wyboru jest warunkiem podstawowym polityki kulturalnej, w której istnienie nie wolno nam wątpić.

Jeśli dla przykładu — wyświetlanie w Polsce filmów o Winnetou jest warunkiem egzystencji polskich kin, to i w tej serii dokonujmy pewnych wyborów. Bo nawet w ramach tej straszliwej szmiry można dokonać pewnego wartościowania. „Winnetou wśród Sępów" jawi się nam niemal jako szlachetny western, gdy porównamy go z „Winnetou i Apanaczi".

Bardzo rzadko możemy w ostatnich czasach obejrzeć prawdziwy, dobry western. Przypomnijmy, iż np. film „Rio Bravo" był dla „Winnetou" nie lada konkurencją. Podaje nam się do wiadomości rekordy kasowe, jakie bije „Winnetou", ale nie mówi się o tym, że nie kupiliśmy żadnego filmu, w którym biedny Winnetou znalazłby rywala. Wiadomo, ludzie wybierają w tym, co im się proponuje.

Innym przykładem niech nam dziś będzie radziecki film sensacyjny „Tajemniczy mnich". Konia z rzędem tym, którzy cokolwiek zrozumieją i przeżyją dreszcz emocji, będący dla tego gatunku podstawowym wyznacznikiem. Bzdura, którą równać można tylko z polskim „Ostatnim świadkiem". Niewypały zdarzają się wszędzie, dlaczego je jednak kupować? Trudno uwierzyć, że w ogromnej kinematografii radzieckiej nie ma w czym wybierać.

Pozwoliłam sobie dziś na tę garść smutnych uwag zamiast zwykłej prezentacji filmów, ale nietrudno się chyba domyślić, że diabli człowieka biorą, gdy naprawdę nie ma o czym pisać i co czytelnikom polecać. Na koniec jeszcze jedna uwaga: znamienny jest fakt, że w czterech łódzkich kinach gra się jednocześnie film „Jak rozpętałem II wojnę światową". Czy to nie lekka przesada?

EWA NURCZYŃSKA

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

POLONICA

BELGIJSKI POETA W POLSCE

Zaproszony przez agencję „Interpress'' bawił w naszym kraju wybitny poeta i dziennikarz belgijski, współpracownik brukselskiego dziennika „La Cite", Frederic Kiesel. 45-letni pisarz i doktor praw jest autorem dwóch pięknie wydanych tomów wierszy oraz krytykiem teatralnym. Jako poeta pisze Kiesel w duchu tradycji, zapoczątkowanej w okresie między wojennym, pogłębionej w okresie okupacji. Kierunkowi temu nie tyle zależy na efekciarskiej grze słów i osiągnięciach czysto formalnych, co na poetyckiej medytacji i obrazach. Miłość jest często się tutaj powtarzającym motywem.

Kiesel spotkał się z warszawskimi pisarzami w Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu, następnie zwiedził Kraków, gdzie się odbyło spotkanie z poetami tego miasta. Z Krakowa pojechał Kiesel do Wrocławia i Poznania. Żywo się interesował rozwojem polskiej dramaturgii, ze skupieniem słuchał uwag o sztuce młodego poety, zamordowanego w 22-gim roku życia przez Gestapo, Andrzeju Trzebińskim. (Piękną tę sztukę „Aby podnieść różę" wystawiło w świetnej reżyserii Janusza Warmińskiego warszawskie „Ateneum" na małej swej scenie). We Wrocławiu oglądał Kiesel przedstawienie „Don Juana" Moliera.

Wizyta Frederica Kiesela wywołała zapewne żywsze u nas zainteresowaie nową poezją belgijską, której wybitnymi reprezentantami są także: Line Delliere, autorka tomu świetnych wierszy

„Theopolis" (Saint Genier de Dromon) i Carlos de Radzitzky, potomek dawnej arianskiej rodziny, która wywędrowała z Polski w wieku XVII. Warto dodać, że wiele najświetniejszych talentów jak Henri Michaux dała ostatnio Belgia poezji francuskiej.

Kiesel naszkicował plan opublikowania szeregu wierszy współczesnych polskich poetów w literackim dodatku do swego dziennika. Miejmy nadzieję, że niebawem poeta ten raz jeszcze Polskę odwiedzi, dłużej się u nas zatrzyma i spotka się z przedstawicielami także i pozostałych pisarskich środowisk, a przede wszystkim Łodzi i Gdańska.

W. N.

ŁODZIANIE ZA GRANICĄ

Soliści łódzkiego Teatru Wielkiego coraz częściej występują za granicą. W samym tylko kwietniu br. przewidziano występy: Teresy May-Czyżowskiej w Timisoara (Rumunia), gdzie artystka zaśpiewa w „Rigoletcie" Verdiego i „Fauście" Gounoda oraz Izabelli Nawe — w Berlinie. Wystąpi ona w ramach „Berolinakonzert" z pieśniami i ariami operowymi. Władysław Malczewski da kolejne występy w Lubece (NRF). Witold Borkowski odbędzie tournee po Hiszpanii z londyńskim zespołem „London Festival Ballet Trust", z którym współpracuje. W czasie tournee będą prowadzone pod kierunkiem Witolda Borkowskiego próby do baletu „Don Kichot". (t)

NOWY NUMER „MICKIEWICZ BLAETTER"

Nadszedł do naszej redakcji nowy numer kwartalnika „Mickiewicz-Blaetter", wydawanego w Heidelbergu (NRF) pod redakcją dr Hermanna Budensiega, tłumacza „Pana Tadeusza" na język niemiecki. W tym obszernym zeszycie (100 stron druku) znajdujemy m. in. następujące artykuły i rozprawy: Aleksandra Bruecknera o „Panu Tadeuszu", Wilhelma Szewczyka na temat obrazu Niemca we współczesnej literaturze polskiej, Jacka Kolbuszewskiego o Stanisławie Staszicu i Tatrach i Mariana Brandysa o Marii Walewskiej. Ponadto w numerze aforyzmy Adolfa Nowaczyńskiego w tłumaczeniu Karola Dedeciusa, przekłady sonetów Mickiewicza, dokonane przez Petera Cornelisa, wreszcie opowiadanie Janusza Koniusza „Pan Tadeusz", Kazimierza Wyki wspomnienie „Moje miasteczko rodzinne, Kraków, Warszawa", Stanisława Pigonia „Tajne nauczanie" i wiele innych. „Mickiewicz-Blaetter" prezentują materiał wielostronny i bardzo ciekawy. Szkoda tylko, że pismo to tak mało jest znane.

jk.

POLONICA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

FESTIWAL W GWINEI

Niedawno odbył się w Conakry pierwszy Ludowy Festiwal Gwinei. Program był niezwykle urozmaicony. Przez osiemnaście dni w stolicy Gwinei odbywały się przedstawienia teatralne, imprezy taneczno-muzyczne, koncerty, pokazy baletowe, wystawy sztuk plastycznych, głównie rzeźb w drzewie i kości słoniowej oraz imprezy sportowe.

Rysunek z dziennika „Echa Festiwalu" w Conakry

Gwinea jest obecnie krajem, w którym kultura masowa objęła jak najszersze kręgi społeczne. Każda wieś ma swoje zespoły artystyczne, a zainteresowanie nimi przewyższa zainteresowanie sportem. Przez dwanaście lat trwała praca przygotowawcza i odbywały się eliminacje zespołów artystycznych, toteż do Conakry pojechały grupy należycie wyselekcjonowane, o wysokim poziomie artystycznym. Umasowienie muzyki i tańca napotykało na wiele przeszkód, mających swe źródło w tradycyjnych przesądach z okresu kolonializmu. I tak np. gra na instrumencie k o r a, będącym czymś pośrednim między lutnią a cytrą, w niektórych okolicach leśnych, uprawiana była wyłącznie przez członków elity, niedostępna zaś dla ludzi na niższym szczeblu społecznym. Również niektóre tańce, a nawet niektóre formy muzyczne nie były dostępne dla ogółu mieszkańców. W innych znów okolicach, gdzie zaznaczały się wpływy islamu, taniec i gra na pewnych instrumentach uważane były za czynność niegodną i uprawiane były jedynie przez warstwy nieuprzywilejowane. Dzisiaj przesądy te zostały całkowicie zwalczone.

WAGNER NA LICYTACJI

Wśród miłośników twórczości Ryszarda Wagnera zapanowało poruszenie. Spadek po genialnym muzyku zostaje wystawiony na licytację. Zlicytowana ma być willa Wahnfried w Bayreuth, gdzie kompozytor spędził dziesięć ostatnich lat swego życia oraz całe archiwum wagnerowskie, a więc szkice manuskryptów wszystkich oper Wagnera, kompletne partytury „Tristana i Izoldy", „Lohengrina", tysiące listów, w większości nie publikowanych, a są tu korespondencje adresowane m. in. do Liszta i Ludwika II Bawarskiego, oryginalne teksty artykułów pisanych przez Wagnera itd. Zlicytowany też zostanie fortepian mistrza, i kolekcja motyli i sztuki orientalnej.

Kłopoty finansowe rodziny Wagnerów, spadkobierców wielkiego kompozytora wpłynęły na tę decyzję. Festiwale organizowane w Bayreuth mimo swych ogromnych sukcesów są w gruncie rzeczy deficytowe i nawet przy dotacjach państwowych nie równoważą budżetu. Najstarszą z rodziny jest w tej chwili 72-letnia Winifred Wagner z pochodzenia Angielka, żona syna Ryszarda Wagnera, Zygfryda. Jej czworo dzieci to — zmarły w roku 1966, słynny reżyser oper wagnerowskich, Wieland; Wolfgang, obecny kierownik festiwali Friedlind i Verena. Władze bawarskie bardzo interesują się licytacją i chciałyby ją wygrać. Ofiarowały już na ten cel 10 milionów marek i nie ukrywają, że jeśli zajdzie potrzeba zwiększą tę sumę. Wagnerowie stoją jednak na stanowisku, że cały spadek przekażą temu kto zapłaci najwięcej, obojętne kim będzie ów nabywca. Stawiają jednak zasadnicze warunki: całość pamiątek po wielkim kompozytorze nie może być rozdrobniona, wszystko musi pozostać na miejscu, materiały i archiwa wagnerowskie muszą być udostępnione dla studiów i badań, ponadto żądają, aby w Bayreuth został ufundowany ośrodek studiów poświęconych badaniom nad twórczością i życiem Ryszarda Wagnera.

W ten sposób bogate archiwa wagnerowskie byłyby łatwo dostępne dla dalszych badań źródłowych i nowych opracowań.

LENIN W POEZJI RADZIECKIEJ

Wśród wielu publikacji poświęconych uczczeniu stulecia urodzin Lenina ukazał się ostatnio liczący 776 stron interesujący zbiór poetycki pt. „Lenin w poezji radzieckiej". Książka wyszła w serii „Biblioteka poety" nakładem wydawnictwa „Sowietskij pisatiel". Zbiór wierszy o Leninie zawiera ponad czterysta utworów. Są wśród nich wiersze poetów rosyjskich oraz przekłady na język rosyjski utworów pisanych w wielu językach narodów ZSRR.

Znalazły się tu utwory zarówno poetów znanych i sławnych, jak i mniej znanych, których wiersze wyszukano w dawnych czasopismach, są też wiersze pisane przez robotników i żołnierzy jeszcze za życia Lenina. Zbiór otwiera wiersz pt. „Przyjazd Lenina" J. Wirtaniena. Poeta był wśród tych, którzy witali Lenina gdy przyjechał z Finlandii w roku 1917.

W książce znajdują się liczne portrety Lenina rysowane za jego życia. Zbiór poprzedza wstęp znanego krytyka leningradzkiego S. Władimirowa.

EUGENE IONESCO AKTOREM

Znany dramaturg, reprezentant tzw. awangardy paryskiej, od niedawna członek Akademii Francuskiej, 57-letni Eugene Ionesco napisał dramat przeznaczony dla telewizji pt. „La Vase" (szlam, muł). Reżyserem tego filmu jest Michel Mitrani. W sztuce, która mówi o tragicznej potęgującej się samotności starzejącego się człowieka, występuje w roli głównej sam autor dramatu, Ionesco, pisząc sztukę odgrywał swą rolę przed lustrem. Stwierdził przy tym podobno, że jego własna gra bardziej mu się podoba niż gra zawodowych aktorów.

NOWE WYDANIE POEMATU „DOBRZE" MAJAKOWSKIEGO

W stulecie urodzin Lenina wydawnictwo radzieckie „Chudożestwiennaja Litieratura" opublikowało m. in. nowe wydanie poematu W. Majakowskiego pt. „Dobrze". Dzieło to zostało bogato zilustrowane przez Ł. Skliutowskiego.

Ł. Skliutowskij urodził się w roku 1914. Ukończył charkowski Instytut Sztuk Pięknych po czym rozpoczął pracę jako dekorator teatralny. Robił dekoracje dla teatrów w Charkowie i Kijowie. Podczas ostatniej wojny walczył na fron

Ł. Skliutowskij: Ilustracja do poematu „Dobrze" Majakowskiego

cie w randze oficera. Po wojnie, artysta nie przerywając pracy dla teatru, zajął się głównie grafiką ilustrując szereg książek przeważnie dla wydawnictwa „Chudożestwiennaja Litieratura". M. in. wykonał ilustracje do staroindyjskiego eposu „Ramajana" za co otrzymał w roku 1960 srebrny medal. Ilustracje Skliutowskiego do „Dobrze" Majakowskiego to obrazy, które przez swą symbolikę i alegorię oddają pełen siły i lirycznego wyrazu nastrój poematu wielkiego poety Rewolucji.

Ł. Skliutowskij: Ilustracja do poematu Majakowskiego „Dobrze"

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

Sukces Klubu Nauczyciela

STABILNOŚĆ KIEROWNICTWA — NA SPOTKANIACH TŁOCZNO — CO WIECZÓR IMPREZA — PROPORCJE SĄ WAŻNE! — UMIEJĘTNOŚĆ ZNACZY SUKCES — SATYSFAKCJA FELIETONISTY.

Uważnie śledzę działalność wielu łódzkich Klubów i Domów Kultury — czasem jest to „odfajkowywanie" planu, realizacja programu głównie z myślą o wypełnieniu odpowiedniej rubryczki harmonogramu... Uważnie śledzę tę działalność i układa mi się tutaj pewna prawidłowość. Otóż solidność, rzetelność i efektywność pracy Domów Kultury i Klubów jest wprost proporcjonalna do... stabilności kadry kierowniczej placówek. Oczywiście nie odkrywam Ameryki — wiadomo, że dobry działacz kulturalno-oświatowy to człowiek pasjonujący się swoją robotą, nie skaczący jak motylek ze stanowiska na stanowisko, z etatu na etat. Nie można dobrze realizować zadań upowszechniania kultury, jeśli się wczoraj było na przykład inspektorem BHP, dziś kierownikiem świetlicy, jutro referentem w dziale kadr, a pojutrze znów kierownikiem świetlicy.

Jeśli trafiam do jakiegoś nie znanego mi Klubu czy Domu Kultury, najpierw pytam o to, jak długo pracuje tu kierownik. Gdy mi mówią, że 8—10 lat — wiem, że to na pewno dobra placówka. I nigdy mi się nie zdarzyło pomylić.

Taką właśnie placówką jest Klub Nauczyciela przy Zarządzie Okręgu ZNP. Witold Czerlica kieruje owym Klubem dobre kilkanaście lat — w każdym bądź razie odkąd pamiętam, zawsze widzę Czerlicę inicjującego nowe akcje, organizującego wystawy, szukającego najciekawszych, najbardziej atrakcyjnych prelegentów.

Dlatego nie był dla mnie zaskoczeniem sukces Klubu Nauczyciela odniesiony w ogólnopolskim konkursie na najlepszą placówkę kulturalno-oświatową ZNP. Pierwsze miejsce łódzkiego KN osiągnięte mimo konkurencji prawie siedem dziesięciu placówek z całego kraju jest bowiem jeszcze jednym dowodem, że prawdziwie dobrze może działać Klub czy Dom Kultury, jeśli kieruje nim ktoś, znający się na rzeczy i niosący w sobie bagaż praktyki. Uroczystości zakończenia ogólnopolskiego współzawodnictwa odbywały się oczywiście w Łodzi — przybyła na nie sekretarz ZG ZNP, tow. Wiesława Król — a łódzcy nauczyciele, niejako „poza konkursem" ujawnili swoje umiejętności. Drugiego dnia obrad wyświetlono uczestnikom kronikę filmową — rejestr wydarzeń z dnia ubiegłego. Aby pokazać, że i film potrafią zrobić szybko i dobrze, aby „konkurencji" z innych miast udowodnić, że nagrodę Łódź otrzymała słusznie. Nam w Łodzi tego udowadniać nie trzeba — wiemy od lat, że Klub Nauczyciela przy ul. Piotrkowskiej jest jedną z najżywotniejszych placówek kulturalno-oświatowych.

Spójrzmy choćby tylko w rejestr spotkań z artystami, krytykami, pisarzami. Witold Czerlica potrafi — sobie tylko wiadomymi sposobami — zapewnić udział ludzi naprawdę mających coś do powiedzenia, wnoszących w atmosferę tych spotkań niezaprzeczalne walory poznawcze oraz prawdziwie autorytatywnych. Wojciech Natanson o teatrze Wyspiańskiego — Czesław Janczarski o problemach wychowawczych i literaturze młodzieżowej — Ludwik Benoit o pracy aktora filmowego i teatralnego... W takiej sytuacji nie dziwi fakt, że na imprezach Klubu Nauczyciela jest zawsze tłoczno.

Na estradzie KN śpiewali niejednokrotnie: Danuta Debichowa, Wanda Bojarska, Michał Marchut, grał Zenon Płoszaj; w czytelni eksponowano tematyczne wystawy literatury „Lenin w literaturze", „Książki Wydawnictwa Łódzkiego", „Aktualne nowości książkowe"; Estrada Literacka występowała z szeregiem ciekawych programów — „Poezja walcząca", „Od Boya do Załuckiego", „Nauczyciel w prozie i poezji", „Montaż współczesnej poezji"...

To oczywiście cząstka tego, co działo się i dzieje na co dzień — lub raczej co wieczór w Klubie przy Piotrkowskiej. Wydaje mi się, że kierownictwo KN posiadło umiejętność, która w tego rodzaju pracy decyduje o sukcesie. Otóż umiejętność ta polega na prawidłowym wyważaniu proporcji „programowego menu". Jest więc zatem i wieczorek taneczny, okraszony sympatyczną składanką „Monolog, żart, piosenka" — ale jest także tematyka aktualna — sprawy międzynarodowe mówiony „reportaż" ze Szwecji, rola pisarza w świetle uchwał V Zjazdu PZPR.

O sukcesie decyduje nie zachwianie owych proporcji między tematyką poważną i potrzebną a rozrywką lekką i wesołą — także przecież człowiekowi potrzebną.

Wieloletnie doświadczenie kierownictwa Klubu Nauczyciela procentuje nie tylko uznaniem i akceptacją bywalców, uczestników i współpracowników Klubu — ale w ostatnich latach zaowocowało ogólnopolskim sukcesem. Ucieszył mnie ten sukces — jak zapewne ucieszył wszystkich, którzy śledzą działalność KN.

Dwukrotnie w ciągu pół tora roku pisałem w tym miejscu o pracy kulturalno-oświatowej łódzkich nauczycieli — miło mi pisać po raz trzeci z okazji zajęcia pierwszego miejsca w ogólnopolskim konkursie. Ot, taka maleńka satysfakcja felietonisty, który postawił — jak się okazało — na dobrą kartę.

JERZY WIDOK

WALTER MONAGHAN

Kasia Rzeźnika

I oto znalazłem się w pułapce!

Poprzez szparę w zasłonie zobaczyłem na ulicy znajomy samochód. Wysiadł z niego Monk Saunders i skierował się ku hotelowi. Tylne wejście jest na pewno obstawione. Ktoś czeka, aby wbić mi nóż w plecy, gdy będę wychodził.

Przymocowałem do nogi miniaturowy mikrofon i druty, rejestrator włożyłem do kieszeni marynarki. Wyciągnąłem się na fotelu, udając, że śpię. Drzwi były zamknięte, ale Monk mógł posiadać klucze. Usłyszałem kroki na schodach. Wsunąłem rękę do kieszeni i przekręciłem wyłącznik.

Pukanie do drzwi. — Kto tam? — pytam. — Depesza do pana, panie Yourg! — zaskrzeczał Monk zmienionym głosem.

— Okay! Otworzyłem drzwi udając zaspanego. — Depesza do mnie?... Ach to ty, Monk, wejdź, proszę!

Monk wszedł i natychmiast wyciągnął rewolwer. Twarz miał wykrzywioną wściekłością. Cofnąłem się.

Oparł się o biurko i kazał mi usiąść w fotelu. — Teraz możemy odbyć pogawędkę bez świadków. Odpowiadaj na moje pytania i nie ruszaj się!

— Co się stało? Chcesz mnie zabić? Pracowałem przecież dla ciebie.

— Tak myślałem, ale teraz... Opowiedz mi wszystko, co zaszło dziś po południu.

— Okay. Umówiliśmy się we czwórkę przy kolejce podziemnej, o tym wiesz. Ty i Larry Coster zostaliście w samochodzie, Pete, który miał mi wskazać, gdzie będzie schowana torba z klejnotami, szedł przede mną w odległości kilku kroków. Gdy zbliżaliśmy się do schodów kolejki, podeszli do niego dwaj policjanci i zabrali go. Przeraziłem się i przyśpieszyłem kroku. Sądziłem, że idziecie za mną, obejrzałem się, ale nikogo nie było. Pojechałem kolejką do dworca centralnego i umieściłem torbę w kasecie przechowalni bagażowej. To najpewniejsze miejsce, prawda?

— Daj mi klucz! — Monk wyciągnął rękę.

— Nie mam go przy sobie. Włożyłem klucz do koperty i wysłałem pocztą na moje nazwisko i adres tego hotelu. Przyjdzie jutro rano. Jeżeli chcesz, możesz u mnie zostać i przekonać się, że nie kłamię.

— Może to i prawda, a może nie. — Monk trochę już się uspokoił. Wiedziałem, że mnie nie zabije, dopóki nie odzyska klejnotów.

— Ładnie opowiedziałeś tę historyjkę, ale ja, Larry i Capo podejrzewamy, że jesteś szpiclem.

Zerwałem się oburzony. — Nie jestem szpiclem! Gdybym chciał was zdradzić, wsiadłbym do pociągu i o tej porze byłbym już w Chicago z torbą klejnotów! A tymczasem wróciłem do hotelu i czekałem na ciebie!

Monk był zdezorientowany. Nie odznaczał się inteligencją i dzisiejsze popołudnie wytrąciło go z równowagi. Należało utrzymać go w tym stanie jak najdłużej.

— Nie wiesz chyba o tym — powiedział Monk — że gdy policjanci zabrali naszego pomocnika Pete, dwaj inni usiłowali zatrzymać mnie i Larrego. Dlaczego nikt nie interesował się tobą?

— Ja dopiero zacząłem z wami pracować, a wy jesteście znani. Na pewno policja ma wasze fotografie.

To zdenerwowało Monka.

— Nie wierzę ci! — krzyknął. — Nie zapomnisz mnie do końca życia. — Zaczął się do mnie zbliżać. Wstałem drżąc i odsunąłem się o kilka kroków.

— Ręce do tyłu! — rozkazał manewrując rewolwerem jak nożem. Wiedziałem, że mnie nie zabije, lecz bałem się okaleczenia. Uderzył mnie w ucho, wrzasnąłem z bólu.

— Milcz, szpiegu! — krzyknął Monk i powtórzył uderzenie.

Byłem teraz przy stole. Za plecami pomacałem ręką powierzchnię stołu i zrozumiałem, że mam broń w pobliżu: dużą kryształową popielniczkę! Przyjąłem teraz inną taktykę — rozwścieklić Monka!

— Dobrze! — krzyknąłem. — To ja zawiadomiłem policję, ale ja mam torbę z biżuterią. Jeżeli chcesz ją mieć, przestań mnie bić, już długo nie wytrzymam.

Twarz mu się ściągnęła, oczy zaszły krwią. Podniósł rewolwer, chcąc jeszcze raz uderzyć. Pochyliłem się, prawą ręką chwyciłem popielniczkę i rzuciłem mu w twarz jak dysk. Kryształowa bomba rozbiła się pod lewym okiem. Upadł do tyłu i uderzył głową o kant biurka. Już nie potrzebował martwić się o brylanty.

Położyłem rewolwer na stole i wyłączyłem mikrofon. Miałem już z głowy największego kasiarza — Monka Saundersa. Ale Monk lubił pracować w towarzystwie, należało wytropić jego wspólników.

Byłem zatrudniony w towarzystwie ubezpieczeniowym jako detektyw. Monk nie wiedział, że kontrolowaliśmy każde jego poruszenie. „Zaprzyjaźniłem się" z nim, a on mnie poznał z kompanami. Obmyślana przez pięć lat pułapka na trzech słynnych kasiarzy zaczynała działać pomyślnie. Zostało mi jeszcze dwóch — Larry Coster i Leon Schell, zwany Capo.

Musiałem śpieszyć się. Zbiegłem po schodach i wyszedłem z hoteu głównymi drzwiami. Na ulicy zbliżyli się do mnie współpracownicy naszego biura, Bob i Jim.

— Bill, przed dwudziestoma minutami wszedł do hotelu Monk Saunders.

— Wiem o tym, nie zajmujcie się już nim, nie żyje.

Jim zagwizdał. — Monk nie żyje! Czy mam zawiadomić o tym policję?

— Poczekajcie jeszcze dziesięć minut. Nie mogę się teraz zatrzymywać. Jeżeli do wieczora nie zakończymy tej sprawy, trzeba będzie zapomnieć o niej na zawsze!

Patrzyli na mnie zdziwieni. Wiedziałem, co myśleli... Opuszczenie miejsca, gdzie leżał człowiek zabity moimi rękami, było przestępstwem. Lecz nie miałem wyboru.

— Nie przejmujcie się — pocieszałem chłopców — wytłumaczę się później. Monk chciał mnie zabić, musiałem się bronić. Leży w moim pokoju. Gdy przyjadą policjanci, poproście ich, aby nie rozmawiali z reporterami. Muszę najpierw złapać dwóch wspólników Monka i dostarczyć ich żywych.

— Okay, Bill — zgodził się Jim.

Otwarcie kasy pancernej nie jest rzeczą łatwą. Każdy z trzech wspólników miał swoją specjalizację. Larry Coster znał się na aparatach elektronicznych i neutralizował system alarmowy. Monk Saunders zajmował się rozpruwaniem kasy. Organizacja imprezy należała do Leona Schella, Capo przybył z Berlina, posługiwał się paszportem amerykańskim. Brak było dowodów, aby go aresztować, lecz wiedzieliśmy, że co najmniej tuzin pokazowych włamań on zaplanował — i to w sposób wprost fantastyczny. Mógł pracować miesiące, czasem lata, aby zorganizować rabunek, a potem znikał z łupem nie pozostawiając żadnego śladu.

W działalności tej trójki wykryliśmy jednak pewien słaby punkt. W niektórych przypadkach potrzebowali pomocy innych osób, angażowanych do jednego „skoku". Z tych właśnie względów, gdy Monk odsiadywał trzy lata w więzieniu Sin Sing, towarzystwo ubezpieczeniowe wytypowało mnie do roli jego sąsiada w celi. Mój pobyt trwał tam kilka miesięcy. Monk po wyjściu z więzienia przyrzekł wziąć mnie do współpracy. Odtąd chodziło mu po piętach trzech najlepszych amerykańskich detektywów.

Udając hydraulika, zatrudnionego w pewnej restauracji, czekałem na telefon Monka. Niedługo miał nadejść dzień, świąteczny w poniedziałek, czyli dwa dni wolne od pracy, sklepy jubilerskie byłyby zamknięte od soboty do wtorku. Towarzystwo Ubezpieczeniowe rozesłało alarm do jubilerów.

We wtorek rano nadeszła wiadomość że złodzieje opróżnili kasę pancerną największego sklepu jubilerskiego w Nowym Yorku.. Kradzież była arcydziełem pomysłu i wykonania. Towarzystwo jubilerskie zajmowało trzypiętrowy budynek. Złodzieje weszli przez otwór w murze, dzielącym ten budynek od sąsiedniego. Drugie piętro sąsiada było wydzierżawione od roku pewnej firmie eksportowej. W ciągu tego czasu pomocnicy Monka wyjęli z muru dwa rzędy cegieł w ścianie, łączącej oba budynki. Pozostała tylko cienka warstwa muru od strony jubilera, którą kasiarze wybili tuż przed włamaniem, wykorzystując moment przejazdu aut ciężarowych. W ten sposób weszli do biura na drugim piętrze.

Dokończenie nastąpi

KRZYŻOWKA

POZIOMO: 2. Smaczny jest tylżycki. 4. Miasto w woj. koszalińskim. 7. Z jej przybyciem łączy się wprowadzenie do Polski chrześcijan. 13. Sędzia muzułmański, wydający wyrok na podstawie muzułmańskiego prawa religijnego. 14. Może być słoneczny. 16. Natarcie. 18. Bylina z rodz. złożonych o żółtych kwiatach. 19. Symbol astatu. 20. Gra na scenie. 21. Służy do lutowania. 22. Jednostka ciężaru. 23. Tłuszcz z wieloryba. 25. Głos żeński. 26. Rzeka polska. 27. Właściwy czas. 28. Brat Mojżesza. 29. Rzeka w Szwajcarii. 31. Zjawisko szybko przemijające. 33. Miasto nad rzeką Duero. 38. Inaczej odsłaniacz. 39. Zapewnia nietykalność. 42. Stany Zjednoczone w skrócie. 43. Żółty syberyjski irys, rosnący nad brzegami wód. 46. Inaczej Peleng. 50. Grecka bogini zwycięstwa. 51. Państwo między Morzem Kaspijskim a Zatoką Perską. 52. Miasto w Mauretanii. 53. Niebezpieczna jest ziemniaczana. 54. Przezwisko dawane mieszkańcom USA. 55. Urządzenie do napraw podwodnych części statków.

PIONOWO: 1. Czeski samochód osobowy. 2. Sucha trawa. 3. Hodowana w ogródkach jest krzewinką leczniczą. 4. Przepływa przez Sieradz i Poznań. 5. Symbol argonu. 6. Stan, w który łatwo popada się w czasie dyskusji. 7. Matka mitycznego Perseusza. 8. Jak Wisła szeroka. 9. Wirnik. 10. Zaloty. 11. Pierwiastek chemiczny — metal. 12. Miasto w Iraku nad Eufratem. 13. Przyśpiesza reakcję chemiczną. 15. Los. 17. Srebrna moneta polska z czasów Jana Kazimierza. 24. Bóg słońca (wspak). 27. Roślina ozdobna o pięknych kwiatach. 29. Inaczej prosta. 30. Podział na rejony. 32. Grecka bogini piękności i miłości. 34. Dowódca janczarów. 35. Atak szału u ludności indonezyjskiej. 36. Mieszanina lakierów do malowania. 37. Sąsiaduje na Oceanie Indyjskim z wyspami Mentawai. 40. Pierwsze słowa dziecka. 41. To samo co esej. 43. Uszczelnia szyby. 44. Narząd wzroku. 45. Nocny wypoczynek. 47. Sztuka po łacinie. 48. Pierwiastek chemiczny. 49. Drążek gimnastyczny. 50. Pierwsze litery imienia i nazwiska przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR (1946-53).

Rozwiązanie krzyżówki należy nadsyłać w terminie do dnia 1 czerwca br.

Na czytelników czekają wartościowe nagrody, które zdradzimy dopiero w następnym numerze.

Oprac. JERZY KAŁUŻKA

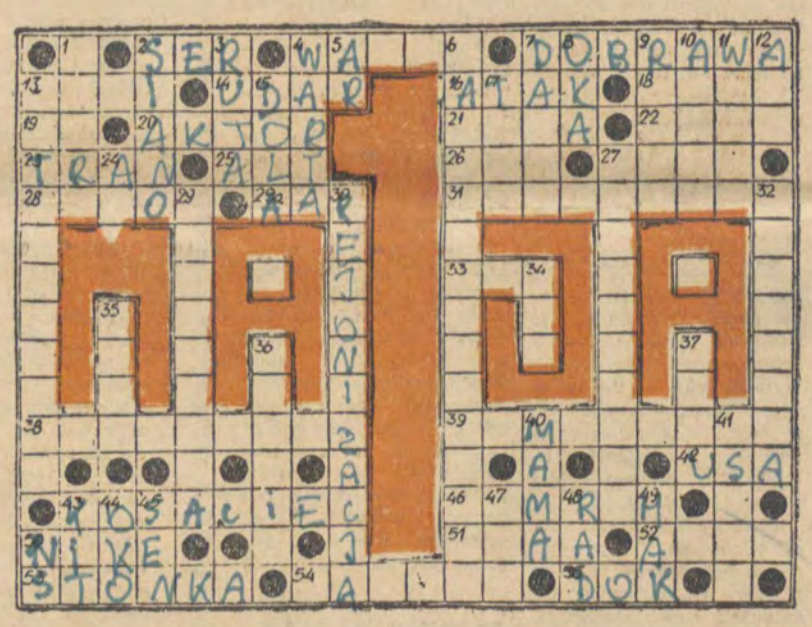

Lewym okiem

CZY MASZ SPŁASZCZONĄ KONCHĘ?

Kiedy ktoś ma kanciastą, grubo ciosaną twarz, zrośnięte brwi, kose i ponure spojrzenie, jednym słowem — taką twarz, za którą mielibyśmy ochotę dać pięć lat bez wyroku i bez zawieszenia, mówimy, że to „lombrosowski" typ. Na ogół wiemy co to słowo oznacza, ale przypomnijmy króciutko, że Cesare Lombroso był w drugiej połowie XIX wieku lekarzem włoskim, psychiatrą, twórcą nowoczesnej medycyny sądowej oraz głosicielem teorii, że zbrodniarzem trzeba się urodzić. Że skłonność do przestępstw, a zwłaszcza do zbrodni, jest cechą wrodzoną, a częściowo nawet dziedziczną. Że niektórzy rodzą się na grzecznych lojalistów, a inni — na wykolejeńców.

Jak każdą teorię — i tę musiano potem rewidować, uzupełniać, korygować, niemniej jednak coś z niej zostało i weszła na stałe do historii myśli społecznej. Nazwisko Lombrosa kojarzy się więc zawsze z pojęciem zbrodniarza. Natomiast mało kto wie, że tenże uczony, w swym dziele pt. „Geniusz i obłąkanie w związku z medycyną sądową, krytyką i historią", cały rozdział poświęcił... grafomanom!

Przypomniał mi się ten rozdział dlatego, że w ostatnich tygodniach zbiegło się wiele głosów na temat zbyt daleko idącego obniżenia kryteriów literackich, zbyt pobłażliwego traktowania debiutów — zwłaszcza poetyckich, zbyt rozpanoszonej łatwizny i tandety, pretendującej do miana twórczości pisarskiej. Hamilton w „Kulturze" pisze: „Mamy w Polsce za mało maszyn w przemyśle, powietrza w ośrodkach przemysłowych, ryb w rzekach, za małą wydajność pracy, za mało ludzi myślących. Pisarzy mamy dość, zwłaszcza pisarzy młodych, którzy nie napisali nic i którzy przekroczyli trzydziestkę". Pisarz, który nic nie napisał, jest zjawiskiem bardzo nowym i bardzo w naszym kulturalnym krajobrazie charakterystycznym. Ale są i tacy, którzy piszą i publikują dużo, natomiast nikt ich nie czyta. Już dziewięć lat temu ubolewał Andrzej Kijowski (w „Miniaturach krytycznych"), że polska publiczność literacka w ogóle, z zasady, nie czyta autorów polskich. To jest duża prawda. O dziwolągach poetyckich, o rozpaczliwej tandecie tekściarskiej mówi się dużo i słusznie, także w naszym tygodniku. A jeszcze i to powiedział Hamilton wręcz: „Nie dawajcie człowiekowi pochopnie promocji na młodego pisarza, bo możecie mu dać promocję na wariata..."

Czołem, Lombroso się kłania (cytuję z przekładu J. L. Popławskiego z 1887 roku): „Grafomanami nazywam ludzi, którzy zajmują miejsce pośrednie między obłąkanymi geniuszami, zdrowymi ludźmi i właściwymi wariatami. Z dziecińtwa odznaczają się brakiem energii, cierpią na bezsenność, somnambulizm, konwulsje i są dziwnie wrażliwi. Później przejawiają czynność gorączkową, z której przechodzą do bezwładności zupełnej, nie poddają się karności, skłonni są do okrucieństwa, do samobójstwa, wreszcie wcześnie rozwijają się u nich instynkty płciowe".

I dalej: „U wielu z nich widocznym jest raczej brak aniżeli zbytek natchnienia, napełniają oni całe tomy gadaniną bez treści i bez sensu ażeby zamaskować słabość pomysłów, nie dołęstwo stylu, używają mnóstwa wykrzykników i znaków zapytania, często podkreślają wyrazy i zdania, tworzą wreszcie nowe wyrazy, podobnie jak monomaniacy. Utwory ich mają dziwaczne, długie tytuły."

I wreszcie, już bona fide, na rachunek nie własnych obserwacji i badań, stwierdza doktór Cesare: „Morel, Legrande la Saulle i Schule dołączają tu jeszcze różne nieprawidłowości cieleśne: konchy usznej (zawsze spłaszczonej), języka, czaszki i organów płciowych — ale ja tylko wyjątkowo znajdowałem te cechy".

Szkoda, że wymienione objawy są wskazówką miarodajną „tylko wyjątkowo". Dużo spraw uprościłoby się znakomicie, dużo byśmy oszczędzili papieru i „przepustowości" w zakładach graficznych, dużo starannie pielęgnowanych kompleksów młodych trzydziestoletnich, co nie pisząc są pisarzami, nie powstałoby w ogóle, gdyby wystarczyło spojrzeć na konchę uszną, czaszkę i wiadome organy...

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwartalnie 19,50 zł, półrocznie — 39 zł, rocznie — 78 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 896. H-10.